Nr. 13 Poznań, dnia 28 Marca 1909 r. Rok XIII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Dwie ważne sprawy

znalazły w komisyi petycyjnej parlamentu niemieckiego należyte uwzględnienie w kierunku nam przychylnym.

Chodziło mianowicie 1) o zniesienie zakazu używania języka polskiego na zebraniach polskich związków zawodowych, 2) o zniesienie tego samego zakazu, co do zebrań odbywanych w powiecie raciborskim.

Referentem w obu tych sprawach był *poseł p. Napieralski.* Wynik argumentacyi posła p. Napieralskiego był ten, że komisya petycyjna tak w jednym jak drugim przypadku przyjęła wniosek posła Napieralskiego, polecający znieść te krzywdzące ludność polską zakazy, wynikające, jak wiadomo, z nowej ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach, a raczej z mylnego jej tłumaczenia.

Poniżej podajemy w skróceniu wywody naszego posła, w sprawach tych wygłoszone.

W sprawie języka polskiego na zebraniach związków zawodowych powiedział poseł Napieralski, co następuje:

„Sprawa wolności języka w publicznych zebraniach Zjednoczenia polskiego zawodowego, jest nam wszystkim dostatecznie znana, ponieważ nie tak dawno parlament na kilku posiedzeniach nią się zajmował.

W petycyi domaga się Zjednoczenie wolności języka polskiego w zebraniach publicznych, które przez organizacye zawodowe zwołane zostaną, aby omawiać albo sprawy zawodowe członków, albo sprawę organizacyi samej.

Wniosek Zjednoczenia o dopuszczenie języka polskiego, podany do władz, (prezesów rejencyi w Arnsbergu, Dyseldorfie i Monasterze), a dalej do sekretarza stanu dla spraw wewnętrznych oraz do pruskiego ministra spraw wewnętrznych został odrzucony.

Powodów, dla których się to stało, petycya nie podaje, ale my je wszyscy znamy z rozpraw w parlamencie. Powody te były natury politycznej.

Sekretarz stanu Bethmann-Hollweg tłumaczył stanowisko rządu tem, że w zebraniach Zjednoczenia częstokroć mówiono o rzeczach, wychodzących po za ramy zawodowych interesów członków i albo ogólnie politycznych, albo szczególnych interesów polskiej ludności dotyczących. Ze strony Koła polskiego krytykowano materyał dowodowy ministra. W szczególności podnoszono, że choćby nawet na zebraniach Zjednoczenia przed wydaniem nowej ustawy o stowarzyszeniach tedy owedy mniej lub więcej polityczne rzeczy omawiano, to okoliczność ta nie daje rządowi prawa do wydania zakazu języka polskiego wprzódy, dopóki by się nie pokazało, jak Zjednoczenie po wydaniu nowej ustawy w swoich zebraniach chce się urządzić.

W końcu prosi zarząd Zjednoczenia o dopuszczenie języka polskiego dla zebrań, w których sprawy zawodowe albo też organizacyjne Zjednoczenia mają być traktowane. Z tego wynika zdaniem mojem, że cobądź na zebraniach Zjednoczenia dawniej było omawiane, obecnie Zjednoczenie Polskie zawodowe o niczem innem na zebraniach nie chce rozprawiać, jak o sprawach zawodowych.

Jeżeli tak jest, natenczas jedyny powód rządu, podany przez ministra, upada. Sekretarz stanu powiedział bowiem wyraźnie, że ruchowi społeczno-zawodowemu jako takiemu rząd przeszkód nie chce stawiać, byle organizacye zawodowe pozostały w ramach interesów zawodowych swoich członków Z tekstu petycyi wynika, że Zjednoczeniu tylko właśnie o to chodzi.

I dla tego petycya powinna być przekazana kanclerzowi do uwzględnienia.“

Wynik głosowania: 13 głosów za, 12 przeciw wnioskowi.

Wniosek p. Napieralskiego przyjęty.

W sprawie języka polskiego na zebraniach publicznych w Raciborskiem, powiedział poseł Napieralski, co niżej:

„Co mówi § 12 nowej ustawy o stowarzyszeniach? Powiada, że w dzielnicach kraju, w których zdawna tam osiadła ludność nie-niemieckiego języka ojczystego 60 proc. wynosi, używanie języka ojczystego tej ludności na przeciąg 20 lat jest dozwolone.

Z jasnego brzmienia tego paragrafu wynika, że prawodawca całkiem ogólnie tylko odróżnia dwa rodzaje ludności: niemiecką i nie-niemiecką. Jaką jest ta ludność nie-niemiecka, jakim mówi językiem, czy w tym względzie jest jednolita czy różna, o tem § 12 nie zawiera ani słowa, ani zgoła żadnej wskazówki, uprawniającej władze administracyjne do robienia dalszych różnic w ludności, co do języka ojczystego. Zatem tekst, brzmienie § 12 przemawia za petycyą. Ale także i cały sens i cały duch ustawy. Uprawnienie dla 60 proc. ludności nie-niemieckiej dostało się przecież do ustawy z tego powodu, że nawet rządowi wydawało się rzeczą nie podobną, ażeby wielkim większościom ludności gwałtem zamknąć usta. Jest rzeczą zupełnie obojętną, czy taką większość stanowią sami Polacy, albo sami Morawianie, albo Polacy i Morawianie; główną rzeczą jest to, że ludność nie-niemiecka powiatu wynosi więcej niż 60 proc. całej ludności. A właśnie tak mają się rzeczy w Raciborskiem. Gdyby praktyka władz administracyjnych w tym powiecie miała być uznaną za słuszną, natenczas ustawa wyjątkowa, ułożona przez prawodawców, zostałа by jeszcze pogorszoną przez dalsze wyjątki ze strony władz administracyjnych.

Z tych powodów zakaz używania języka polskiego w Raciborskiem powinien być zniesiony i w tym celu należy przekazać petycyę kanclerzowi do uwzględnienia.“

Wynik głosowania: Wniosek przyjęto 15 głosami przeciw 8.

Oczywiście daleka jeszcze droga od przyjęcia wniosku w komisyi petycyjnej do uwydatnienia go w praktyce dnia; lecz nie ulega wątpliwości, że zwycięstwo odniesione w komisyi petycyjnej wielką ma wartość praktyczną. Wobec składu obecnego parlamentu można z wielkiem prawdopodobieństwem prorokować powodzenie temu wnioskowi w samej izbie.

Z chwilą, gdyby zniesiono w myśl wspomnianych wniosków krępujące rozwój spraw naszych ograniczenia, ujętoby przykrej dla nas i ciężkiej ustawie o zebraniach część ostrości. Dla prawidłowego zaś rozwoju społeczno-ekonomicznego ruchu robotniczego ulga ta byłaby wielkiej doniosłości. Przedewszystkiem robotnicy, a z nimi oczywiście całe społeczeństwo, ma wielki interes w tem, by uchwały komisyi jaknajwcześniej stały się obowięzujące w życiu praktycznem.

Z dobrych dobrzy się rodzą, wnuk przodków nie wydał,
Lecz do sławy dziedzicznej i swą własną przydał.
Jan Kochanowski.

W sprawie wyboru zawodu

przez naszą młodzież inteligentną.

II.

Na ankietę naszą — patrz nr. 12-ty „Pracy,“ — w sprawie tej rozpisaną, otrzymujemy następujące cenne odpowiedzi:

Wytomyśl, 18. III. 09.

Wyrządzałoby się młodzieży naszej krzywdę, gdyby w wyborze zawodu kazano jej wyłącznie oglądać się na potrzeby kraju. W takim bowiem razie, wobec nieszczególnego naszego politycznego i socyalnego położenia, młodzież nasza z większej części zawodów musiałaby zrezygnować, a rezygnowanie ze stósownego zawodu li tylko z tego względu, że nie przedstawia dla Polaka w Prusiech widoków powodzenia, byłoby niepotrzebnem składaniem broni.

Każdy bez wyjątku, a zatem i młodzieniec polski, taki powinien sobie obrać zawód, do którego czuje największej uzdolnienia i zamiłowania. Osobiste zdolności i przymioty w kwestyi wyboru zawodu odgrywają rolę decydującą. Zazwyczaj osobnik do jednego tylko specyalnie nadaje się zawodu.

Jeżeli warunki w kraju obranemu zawodowi nie sprzyjają, trzeba szukać warunków korzystniejszych za granicą. Polaków inteligentnych, pracujących za granicą, nie wolno bynajmniej uważać za straconych dla kraju. Owszem, nauką swoją i — last not least (koniec końcem. — red.) zarobionym u obcych groszem niezmierne mogą oddać przysługi narodowi swemu.

Świat szeroki, a dzielnych ludzi wszędzie potrzeba.

Dla tego nie powinno się młodzieży naszej odstraszać od żadnego zawodu, nie wyłączając nawet *okręciarstwa i budowy dróg i mostów.*

Przypominają mi się piękne słowa psalmu, które ubogi pastor z Wakefieldu synowi swemu, udającemu się na studya, dał zamiast pieniędzy jako zadatek na drogę: „I have been young, and now am old: yet never saw I the righteous man forsaken, or his seed

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

104) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

6) Siła ducha i praca narodowa Wielkopolan.

Pomimo tej bezwzględności dla Polaków nie upadają Wielkopolanie na duchu, lecz krzątają się i działają energicznie w obronie praw narodowych. Skwapliwie wiążą się w różne organizacye, a łączą się ściśle i silnie i przez tę energiczną, rozumną łączność, przez ten zapał i siłę stanowią jakby niewzruszoną opokę od której odbijają się zabójcze ciosy. Naliczyć można setki stowarzyszeń, związków, organizacyi, banków, jakie Polacy w zaborze pruskim założyli w krótkim stosunkowo czasie, bo od drugiej połowy ubiegłego stulecia.[1]) Jedną z takich organizacyi, wprawdzie nie politycznych, są stowarzyszenia *sokolskie* (gimnastyczne), które wzrastają z roku na rok w liczbę i znaczenie, mają wielką wziętość w społeczeństwie i wywierają swój wpływ zbawienny. Od roku 1897 w przeciągu lat 10 liczba sokolskich związków czyli gniazd wzrosła czterykroć, a potroiła się liczba ich członków; w r. 1908 było gniazd sokolich 180, a członków przeszło 8000.

A nietylko Polacy na ziemiach polskich pod zaborem pruskim łączą się silnie i działają energicznie w obronie narodowej, lecz odnosi się to także i do Polaków, których znaczna liczba żyje w głębi Niemiec. Tak w Berlinie, jak i nad Renem, w Westfalii mają Polacy swoje związki, głosują na swego kandydata do parlamentu i wydają pisma polskie bardzo rozpowszechnione.[2])

W silnie złączonym organizmie narodowym polskim pod zaborem pruskim nie wywierają szkodliwego wpływu te smutne wyjątki, te jednostki o słabych charakterach, które nie były zdolne utrzymać w swych rękach ziemi ojczystej i rodzinnej i odsprzedały ją obcym, tak czyhającym na naszą zgubę. Te „sprzedawczyki świętej ziemi ojczystej“ wytykane przez naród jako niegodne, napiętnowane, wzgardzone okazy mogłyby służyć tylko za przykład odstraszający, gdyby takiego potrzeba było w tak silnem i patryotycznem społeczeństwie. Maleje, rozpływa się ta hańba w dzielnym, płomiennym narodzie, a wynagradza ją jeszcze nowa, wzrastająca od dołu, warstwa ludzi silnych, energicznych i patryotycznych, takich Drzymałów, którzy prawie z niczego potrafią się dorobić kawałka polskiej ziemi, i, pomimo ogromnych w życiu utrudnień, na tej ziemi utrzymać się zdołają. I jeszcze z pociechą powtórzyć tu trzeba to zdanie:

— Nigdzie, jak pod zaborem pruskim, ludność włościańska nie odznacza się tak silnem poczuciem patryotyzmu i żadnym komisyom kolonizacyjnym nie odda swojej ziemi![3])

[1]) Powstało około 300 banków ludowych, banków parcelacyjnych, spółek pożyczkowych, *Kupców, Rolników*, między nimi bardzo poważne, jak *Bank Ziemski, Bank Związku Spółek Zarobkowych* i *Bank Przemysłowców.* Przeszło 100 towarzystw należy do *Związku Towarzystw Przemysłowych.* Oprócz tego są: *Związek Towarzystw kupieckich, Związek kupców podróżujących* (300 członków), *Zjednoczenie Młodzieży kupieckiej* (50 towarzystw), *Zjednoczenie zawodowe polskie* (50,000 robotników polskich), *Towarzystwo Czytelni ludowych, Towarzystwo dziennikarzy i literatów polskich, Stowarzyszenie drukarzy polskich, Związek Kół śpiewackich, Centralne Towarzystwo gospodarcze* (500 członków obywateli ziemskich), *Włościańskie Kołka rolnicze* (309 Kółek z 15,000 członków), *Związek polskich Towarzystw gimnastycznych sokolich.*

[2]) W Niemczech wychodzą obecnie trzy polskie pisma: „*Dziennik Berliński*“, „*Wiarus Polski*“ (w Westfalii w Bochumie) i „*Zgoda*“ (w Wanne).

[3]) Limanowski, 438.

begging their bread.“ (Byłem młody, a teraz jestem stary: jednakże nigdy nie widziałem, żeby prawy człowiek był opuszczony, albo jego potomstwo prosiło o chleb“ — tłum. red.)

Polak dzielny, znający gruntownie swój zawód, choćby i w Prusiech nie znalazł odpowiedniego stanowiska, nie zginie.

Ks. Styczyński, poseł.

* * *

Kórnik, 22. III. 1909.

Szanowny Panie Redaktorze!

Trudne mi Pan postawiłeś zadanie: zaznaczenia stanowiska w sprawie wyboru zawodu przez naszą młodzież inteligentną. — Odpowiadam jednakże na wezwanie — wedle zasady; a jako kto może, do dobra publicznego niechaj dopomoże.

Otóż zdaniem mojem każdy młodzieniec winien sobie ten obrać zawód, do którego najwięcej ma wrodzonego pociągu, do którego najwięcej się czuje uzdolnionym. Względy na to, czy ten lub ów zawód jest więcej donośny, względy na tak zwane „przepełnienie“ ani nawet na powzięte z góry zdanie, że dobro ogólne społeczeństwa wymaga tego, żeby przedewszystkiem ten lub ów zawód wybierać, — nie powinny tu rozstrzygającej odgrywać roli. Kto n. p. czuje nieprzeparty pociąg do nauk ścisłych, albo do filozofii, albo do medycyny — niechaj w miarę środków idzie za tym popędem — a korzyść, jaką sam odniesie i jaką przyniesie społeczeństwu, będzie większą, niżby ją przyniosło oddanie się zawodowi, do którego by nie miał ani odpowiedniego zamiłowania, ani odpowiedniego talentu. Tylko przez uwzględnienie wrodzonych skłonności wyrabia się samodzielność, wybitna indywidualność, wyrabia się wreszcie charakter.

Ponieważ jednakże znaczna liczba, a może większość młodzieży stawa po ukończeniu nauk gimnazyalnych na rozstajnych drogach, nie wiedząc, w którą się zwrócić stronę, przeto posłuszny wezwaniu Pana Redaktora — zastanowię się pokrótce nad pytaniem: jakie zawody w takim razie przedewszystkiem zaleciłby należało. Zdaniem mojem tak zwane zawody naukowe nie są u nas przepełnione i pod tym względem podzielam zapatrywanie p. dra Karasiewicza, wypowiedziane w nr. 12-tym „Pracy.“ Potrzebujemy jeszcze *księży, lekarzy, prawników* — byleby się wszyscy nie cisnęli do wielkich miast i byle każdy z nich nie miał pretensyi do wielkich dochodów zaraz po ukończeniu studyów uniwersyteckich. Pole zaś do zasług obywatelskich i narodowych jest tutaj może szersze, niż w innych zawodach. Ale bądź co bądź — zastęp młodzieńców poświęcających się tym zawodom będzie zawsze do pewnego stopnia ograniczonym — już to dla tego, że zawody te wymagają przed innemi specyalnego uzdolnienia i zamiłowania — już też dla tego, że przebieg nauki i praktyki przygotowawczej jest drogi i wymagający znaczniejszych nakładów.

Pozostanie więc zawsze jeszcze przeważna część młodzieży z wyższem wykształceniem gimnazyalnem, dla której właśnie sprawa wyboru zawodu staje się najbardziej palącą.

Korzystam z poważnych i światłych głosów, jakie już się w tej sprawie odezwały w poprzednim numerze „Pracy“ — i zestawiam jako polecenia godne zawody: *1) specyalną pracę w dziedzinie społecznej, a do tej kategoryi zaliczam także zawód redaktorski, 2) pracę w naszych spółkach, bankach, Rólnikach itp. 3) całą dziedzinę handlu i przemysłu.*

Słusznie ktoś powiedział, że kwestya naszego bytu narodowego rozstrzygnie się na polu ekonomicznem. To też wytężyć powinniśmy siły nasze, aby na tem polu wytrzymać konkurencyą z naszymi przeciwnikami. W dziedzinie handlu powinniśmy już dzisiaj dążyć do stworzenia własnego handlu hurtowego, do czego potrzeba będzie doskonale wyszkolonych pracowników z wyższem wykształceniem, i kupieckiem i ogólnem ekonomicznem. Nad tem, jakie gałęzie handlu hurtowego należy przed innemi uwzględnić, winien się zastanowić Związek nasz kupiecki.

Nie mniejszem, a właściwie większem jeszcze staraniem, niż handel, który się trudni wymianą wartości, należy otoczyć przemysł, który wytwarza wartość. Nad tem zadaniem winni pracować wspólnemi siłami i kupcy,

---

Na chlubę narodu wyznać w końcu należy, iż Polacy pod zaborem pruskim, jako przedstawiciele najstarszej polskiej dzielnicy, dumni tą odwieczną godnością narodową, pomimo cierpień dzisiejszych, nie dają się zatruć zwątpieniu, są silni, złączeni, ożywieni jednem wzniosłem uczuciem, jedną myślą, która jakby iskra boża, jakby święty płomień przenika ich, wzmacnia, podnosi i zapala, czyniąc z Wielkopolski nieskalanego, zbiorowego bohatera narodowego, wzór wśród polskich dzielnic!

VI. Pogląd ogólny na dzieje porozbiorowe Polski.

Całe dzieje porozbiorowej Polski krótko określić się dadzą w następujących zdaniach:

— Do roku 1863 historya porozbiorowa jest jednem ciągłem szamotaniem się narodu z przemocą w celu odzyskania utraconej niepodległości.

— Historya porozbiorowa od roku 1863 jest pokojowem, trzeźwem odradzaniem się narodu we wszystkich warstwach złączonego, jest wzrastaniem w siłę i znaczenie na polu pracy ekonomicznej, oświaty, nauki i sztuki.

1). Do r. 1863/4.

Jednem ze złudzeń, które napełniało myśli szlachetnie dumnego narodu polskiego, z taką godnością i znaczeniem spełniającego w ciągu wieków swe dziejowe posłannictwo — było:

— Polska przez wieki niezbędną i konieczną była dla równowagi Europy; Polskę niepodległą przywrócą państwa europejskie we własnym interesie i naprawią swój wielki błąd, jakiego dopuściły się rozszarpując tak szlachetny, żywotny i pełen znaczenia naród polski!

I jak czarujące, oślepiające, błędne światło wodziło to złudzenie znękany, sierocy naród, rzucając najdzielniejszych synów Polski w obce, dalekie kraje, już, już rozkosznie błyskając mającą spełnić się nadzieją, kiedy wielki Napoleon wstrząsnął posadami starego świata, kiedy *Legiony polskie* zadziwiały świat, trudnem do uwierzenia męstwem i bohaterstwem, kiedy rzeczywiście utworzone zostało z imienia niepodległe państewko polskie: *Księstwo Warszawskie* (rok 1807). Nadzieja taka najbardziej elektryzowała podniecony naród, kiedy na *Kongresie Wiedeńskim* (r. 1815) car Aleksander I. chciał i miał urządzić samoistną Polskę, a tymczasem wskutek zawiści i chciwości państw nastąpił czwarty rozbiór, czwarte rozszarpanie Polski. Jakby na ironię[1]) utworzono tedy maleńkie niepodległe państewko polskie: *Rzeczpospolitą Krakowską*, a wreszcie car Aleksander I. z tej części Polski, którą Rosya zabrała, utworzył osobne *Królestwo Polskie* (Kongresowe) z własną konstytucyą, rządem i wojskiem.

W złudzeniach ciągłych o obcej pomocy żył nienaturalnem życiem uciśniony naród polski. Garstka młodzieży wywołała *powstanie listopadowe* (r. 1830), poszedł za nią naród cały.

Po bohaterskich walkach, napełniających sławą imienia polskiego świat cały, powstanie upadło, naród polski zgnieciony brutalną przemocą moskiewską, a Królestwo, jako kraj zdobyty siłą, stało się prowincyą rosyjską.

Nastąpiły lata działania emigracyi polskiej, ścierania się z sobą warstw narodu, lata spisków i rewolucyi, gorszych jeszcze prześladowań i znęcań się państw nad powstańcami. W latach tych niespokojnych, wśród strasznych łun pożarów, wśród krwawych mordów, jak czarna plama hańby widnieje *Rzeź tarnowska*, wykazująca jak daleko, jeszcze było do podniesienia się i zbratania ludu wiejskiego z całym narodem.

W roku 1848 wszystkie ludy europejskie ogarnął

[1]) *Ironia*, z łac., szyderczy, drwiący, uszczypliwy sposób mówienia lub działania.

i banki i sami przemysłowcy, wykształceni jako *inżynierowie i fabrykanci.* Trzeba się przygotować na to, że niemieckie fabryki będą naszym utrudniały kształcenie się w tym kierunku, ale na to jest sposób — wysyłania młodzieży naszej do fabryk zagranicznych — czy to do Austryi, czy do Szwajcaryi lub Francyi. Winniśmy zresztą brać w rachubę także przemysł nasz fabryczny w Królestwie Polskiem, który dotychczas przeważnie był w ręku obcych.

Jak wszędzie, tak i w przemyśle — nie można zresztą robić od razu wielkich skoków. Trzeba zacząć od fabryk, wymagających i mniejszego kapitału i ograniczających się na ciaśniejsze pole zbytu. Rozumie się, że od razu o konkurencyi z przemysłem wielkoświatowym myśleć nie możemy. Ale i w tych ciaśniejszych granicach obszerne jest pole pracy dla naszej młodzieży z wyższem wykształceniem szkolnem i gruntownem wykształceniem fachowem.

Dr. Zygmunt Celichowski.

* * *

Zaborze, Górny Śląsk, 22. 3. 09.

W sprawie wyboru zawodu pozwalam sobie zaznaczyć, co następuje.

Na specyalne zapytanie, czy *inżynier dróg i mostów* w kraju łatwoby znalazł stanowisko, kompetentnej odpowiedzi dać nie mogę, bo jestem lekarzem, a nie inżynierem. Na Śląsku, gdzie po hutach pracują całe masy inżynierów, niema ani jednego Polaka, ponieważ żaden wobec zaczepek kolegów-hakatystów przez dłuższy czas ostać się nie może.

Twierdzenie, jakoby *zawód lekarski* był przepełniony, uważam za niesłuszne, ponieważ nie da się ściśle oznaczyć, w jakim stosunku stać powinna liczba lekarzy do ilości mieszkańców.

Nie ulega jednak wątpliwości, że warunki powodzenia stają się coraz cięższe, ponieważ wskutek nowoczesnego prawodawstwa socyalnego, coraz szersze sfery ludzi pracujących usuwają się lekarzom prywatnym, będąc zniewolone szukać porady u lekarzy kasowych. Powstałe stąd zło ma być usunięte przez wolny wybór lekarzy. Wszędzie wciskająca się hakata drży jednak ze strachu na samą myśl o tym wolnym wyborze i przeprowadziła już swoje zamysły, tak że w dzielnicach polskich lekarze Polacy nie doznają w kasach równouprawnienia z lekarzami Niemcami.

Mimo to jednak lekarz pilny i sumienny, szczególnie jeżeli środki pozwalają mu na to, aby po złożeniu egzaminu państwowego mógł jeszcze kilka lat popraktykować w szpitalach, może zawsze jeszcze liczyć na dobre stanowisko.

Dzielnych *księży, lekarzy i prawników Polacy* zawsze potrzebować będą. Kto z młodzieży nie ma do tych zawodów skłonności, niech szuka nowych szlaków.

Znam ludzi, którzy nie tylko uniwersytetów, ale nawet gimnazyum nie ukończyli, a mimo to swoją inteligencyą i dzielnością wybili się na czoło społeczeństwa. Praca — ludzi wzbogaca.

Pozostaję z wysokim szacunkiem

Dr. M. Hager.

* * *

Dalsze odpowiedzi — o ile nadejdą zamieścimy w następnym numerze „Pracy."

Przemijają i przemijać będą domniemywania ludzkie; pójdą w zaniedbanie obowiązki, któremi obłuda lub fantazya obarcza rozum i krępuje wolę człowieka, lecz odwieczne prawdy, które przyrodzenie objawia w nas samych, jak do istności naszej przywiązane, trwać zawsze będą i nigdy się nie zmienią.

Hugo Kołłątaj.

* * *

Nieszczęsny to człowiek, co w marnem próżnowaniu czasy swe sprośnie traci, a jest tylko jako on staroświecki marmurowy filar, a na nim chłop ze spiżu ulany, co tylko wróble albo gołębie na nim siadają, a w niwecz się nie przygodzi.

Mikołaj Rej.

* * *

---

prawdziwy szał wolności, lecz drobne wybuchy powstań stłumione zostały zaraz przez rządy państw, a dla Polski walczącej o wolność i żyjącej nadziejami, nie było żadnej z tych powstań korzyści. Wreszcie boleść dręczonego narodu polskiego wybuchła jednym jękiem i okazała się w licznych manifestacyach polityczno-religijnych w latach 1861 i 1862.

Wybuch krwawego powstania w roku 1863 i 1864 zgnieciony został dziką siłą moskiewskiej przemocy; łudzący się naród w nadziejach zagranicznej pomocy, wciąż zawodzony, patrzył ze zgrozą na straszną śmierć najdzielniejszych synów Polski, jej męczenników i bohaterów, na bezkarne już rozpasanie się dzikiej namiętności i samowoli, okrutnej mściwości i tyraństwa zesłanych na Polskę krwawych satrapów moskiewskich; naród dręczony odtąd stale, a srodze przez wszystkie zaborcze rządy mianujące się chrześcijańskimi.

Powstanie roku 1863/4 było ostatnim olbrzymim, krwawym protestem narodu, było wstrząsającem, jakby zagrobowem, z wyższego świata płynącem pytaniem, zwróconem do małodusznych chciwych i łakomych:

— Coście zrobili ze sławnym, wielkim i zasłużonym dla świata narodem? Jak odważyliście się spełnić akt materyalnej przemocy i trwać w nim i przedłużać to bezprawie, na które nie zgodzi się nigdy wielki i żywotny naród?

2). Od r. 1863/4.

Powstanie roku 1863/4 było ostatnim dziejowym krwawym protestem, ale nie ostatnim pokojowym protestem narodu, bo ten trwa ciągle. Trwa ciągle spokojny, cichy, a silny protest niezłomnego ducha boleścią doświadczonego narodu, pełnego godności i namaszczenia, protest Polski podnoszącej się i odradzającej szybko, Polski w spiżową całość we wszystkich warstwach złączonej, Polski rozpartej śmiało na olbrzymim, niewzruszonym fundamencie potężnego, zdrowego, wiarą i trzeźwą myślą silnego ludu polskiego, Polski sławnej i mocnej swą wewnętrzną, zgodną już pracą, swą poważną nauką i sztuką, promieniejącą wśród narodów.

Ta nauka i sztuka polska, ta pokojowa praca i wytrwałe działanie narodu sprawia, że pomimo wielkich zewnętrznych przeciwności, Polska odradza się i najbardziej jednolitą stała się właśnie w epoce porozbiorowej, gdy zabłysnęli i podnieśli ją geniusze jej: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, a z nimi pojawili się liczni poeci i pisarze. Tak ci geniusze jak i mistrze pędzla, na których czele stoją Matejko i Grotger, mistrze tonów, jak Chopin,[1]) Moniuszko i inni, nietylko w Polsce, ale w całej Europie i w świecie całym wzbudzają niesłychany podziw pięknością, urokiem, wspaniałością i siłą swych utworów.

Niema politycznego państwa ale jest ta sama obszerna, urodzajna, łakoma dla obcych, ziemia polska i jest ten sam liczny, szlachetny naród polski, doświadczony długoletniem cierpieniem i walką, może jeszcze odbywający pokutę za dawne winy, ale spokojny, ufny i zapatrzony w promieniejącą ponad nim gwiazdę Wszechmocnej czuwającej Opatrzności, w której czyta:

—Wielki, Sprawiedliwy, w wyrokach Swych niezbadany Bóg odmieni dolę uciśnionych, spełni ich pragnienia i szczęśliwymi ich uczyni...[2])

Koniec.

---

[1]) Czytaj: Szopę.

[2]) Ostatnie rozdziały skreślone według Lewickiego (Zarys hist. pols.) jakoteż według roczników warszaw. *Tygodn. illustr.* i poznańs. „*Pracy*" od r. 1905.

Na Widowni.

Jak wiadomo są lokale z żeńską usługą rozsadnikami nie tylko demoralizacyi, lecz tworzą nadto poważne niebezpieczeństwo dla zdrowia i kieszeni zwiedzających je gości. Stąd wszelkie organizacye, mające na celu troskę o obyczajność i hygienę publiczną, słusznie wrogie stanowisko zajmują wobec tych nor ohydnych. Obecnie nowy prezydent policyi poznańskiej wydał uznania godny przepis, nakazujący zamykać te lokale najpóźniej o 9-tej wieczorem. Ponieważ dotychczas wolno było odprawiać libacye w tych knajpach do 1-szej w nocy, właściciele ich, czując się pokrzywdzeni nowem rozporządzeniem, wytoczyli proces prezydentowi policyi, dufając w dawniejszy wyrok najwyższego sądu administracyjnego, który w podobnej sprawie wypadł dla nich przychylnie. Ciekawa rzecz, jak się ten zatarg skończy. Oczywiście w tym przypadku wszyscy ludzie dobrze myślący są po stronie policyi poznańskiej.

Nie minęło jeszcze zupełnie zaniepokojenie wywołane mylnemi — jak się okazało — informacyami pewnej części prasy centrowej, która ogłosiła realnie istniejący kompromis wyborczy polsko-centrowy za nieistniejący, a nowe zajście wywołuje wrzenie w części prasy polskiej. Chodzi tu mianowicie o fakt, że ani N. N. ks. ks. Administratorzy naszych dyecezyj ani N. ks. biskup chełmiński nie obstawali za solidarnem wszystkich biskupów pruskich zrzegnowaniem z dobrodziejstwa ustawy o dodatkach do pensyi proboszczowskich, będącej dla naszych dyecezyj ustawą wyjątkową najgorszego gatunku.

Zapatrywania co do sprawy mogą być rozmaite. Sądzimy wszakże, że należy się kierować zaufaniem do kierowników naszych dyecezyj, którzy, jako najbliżej interesowani, zapewne z wielką sumiennością i skrupulatnością zastanowili się nad tą ważną sprawą i postąpili tak, jak tego interes dyecezyj wymagał. Czy przeciwne wystąpienie wyż wymienionych N. N. kierowników dyecezyj byłoby sprawie dodatków pensyjnych inny dało obrót — to kwestya otwarta.

Co do nas uważamy, że należy być bardzo ostrożnym w krytykowaniu postępowania naszych władz duchownych. Nie odmawiamy ani sobie ani nikomu prawa krytyki, lecz pragnęlibyśmy, by z tego prawa korzystano roztropnie. Należy zawsze pamiętać o tem, że mężowie kierujący sprawami dyecezyalnemi według wszelkiego prawdopodobieństwa lepsze mają informacye, co do spraw pod ich jurysdykcyę podpadających, niż osoby postronne. Pomyłki polityczne oczywiście wykluczone nie są, lecz i krytycy postanowień biskupich nie mają patentu na nieomylność.

Bardzo ciekawym objawem był gnieźnieński wiec kolonistów niemieckich. Ciekawy dla tego i znamienny, że ujawniła się tam poraz pierwszy bardzo ostro rozbieżność interesów, tak społecznych jak politycznych, zachodząca pomiędzy przedstawicielstwem wielkiej niemieckiej własności ziemskiej, a kolonistami, siedzącymi na drobnych parcelach.

Zebranie kolonistów wywołane zostało przedłożeniem kanclerzowi przyjętej na poznańskiem zebraniu związku rolników niemieckich rezolucyi, wyrażającej życzenie, aby komisya kolonizacyjna nie rozparcelowywała całego obszaru ziemi, lecz pozostawiała około 1000 morgowe majątki, których właściciele byliby zdolni sprawiać wszelkie publiczne urzędy w samorządzie powiatowym i prowincyonalnym.

Koloniści czuli się obrażeni treścią tej rezolucyi, która uważa ich za niezdolnych i niezdatnych do sprawowania tego rodzaju urzędów. Wszyscy ich mówcy zwracali się przeciw tej rezolucyi i starali się udowodnić, że większa własność jest zbyteczna, że oni sami sobie dadzą radę tak pod względem gospodarczym jak i polityczno-społecznym. Jeden z mówców wzywał rząd, by zaczął wywłaszczać większych właścicieli ziemskich, inny, by rząd wywłaszczał bez różnicy narodowości wszystkich tych właścicieli, którzy za granicą zużywają swoje dochody. Na wywody kolonistów odpowiadał kilkakrotnie oficyalny delegat dr. Roesicke. Zabrał też głos przewodniczący grupy poznańskiej major Endell, lecz i on nie zdołał kolonistów przekonać. Kolonistom głównie chodzi o to, aby zyskać więcej praw w samorządzie powiatowym i prowincyonalnym, bundowi zaś o to, by przez tworzenie „restgutów“ zachować wpływ większej własności. To też opozycya kolonistów skierowana była przedewszystkiem przeciw obowiązującej od lat ordynacyi powiatowej. Nakoniec przystąpiono do utworzenia osobnego „bundu“ kolonistów. Mimo odzywającej się opozycyi, by sprawę tę jako przedwczesną odroczyć, większość ogromna zebrania na propozycyę tę się zgodziła.

Nam Polakom ta waśń w obozie hakatystycznym nie potrzebuje być przykra. Hakatyści przez swą politykę kolonizacyjną nawarzyli sobie piwa, które z czasem może ich przyprawić o uczciwego kota.

Ze spraw parlamentarnych, część których poruszamy na innem miejscu, podnieść należy utworzenie trzeciej podkomisyi w łonie głównej komisyi finansowej celem rozpatrzenia projektowanego podatku od wina i napojów alkoholicznych. Zajście to świadczy o wielkich trudnościach, na które natrafia słynna reforma finansów rzeszy w parlamencie. Także projektowany podatek od ogłoszeń w gazetach i plakatów reklamowych przepadł z kretesem. Położenie kanclerza i rządu z powodu tych ciągłych niepowodzeń nie jest do pozazdroszczenia. To też mnożą się wieści o zachwianem jakoby stanowisku ks. Bülowa. Ostatnio ożywiły się nudne rozprawy w parlamencie wielce dramatycznemi debatami o stosunkach wojskowych. Na zarzuty socyalistów i centrowców odpowiadał minister wojny von Elnem, a ponieważ to pan jowialny i dowcipny, więc chwilami niepodzielna wesołość panowała w izbie.

We Francyi, a mianowicie w Paryżu, wybuchł wielki strejk urzędników pocztowych, wskutek czego zastój komunikacyi jest olbrzymi. Tak np. ministerstwo dla spraw zagranicznych w Paryżu nie otrzymało przez 3 dni ani jednej depeszy. Strejk trwa już kilka dni i był nawet objektem rozpraw w izbie francuskiej, rozpraw bardzo namiętnych, zakończonych późną nocą zwycięstwem gabinetu. W chwili, gdy te słowa piszemy nadchodzi wiadomość, że komitet strejkowy oświadczył się na skutek ustępliwości rządu, który przyrzekł podjąć reorganizacyę najwyższej władzy pocztowej, za ukończeniem strejku. Jednakże spora część strejkujących — około 6000 — nie chce się poddać uchwale komitetu.

O widokach wojny czy pokoju na Bałkanie trudno pisać w tygodniku. Każdy dzień przynosi zmiany. Wskazówka na barometrze politycznym chwieje się to w tę, to w ową stronę. W zeszłym numerze pisma naszego poświęciliśmy tej sprawie dłuższy artykuł. Od tego czasu właściwie nic

się nie zmieniło, gdyż Austrya projektowanego rzekomo ultimatum nie wystósowała do Belgradu. Tyle pewna, że nie tylko Francya i Włochy, lecz ostatnio także Anglia zajęła się sprawą konfliktu austryacko-serbskiego w duchu pokojowi przyjaznym. Chodziło by teraz o to, by także Rosya zaprzestała igrania z ogniem, co od miesięcy całych uprawia.

Z Konstantynopola donoszą pod dniem 22-go marca, że pomiędzy Austryą a Rosyą napięcie zelżało i to z powodu telegramu, który cesarz Franciszek Józef miał wysłać do cara, na co car bardzo uprzejmie odpowiedział. Podobno widoki dojścia do skutku konferencyi bardzo zyskały na prawdopodobieństwie. Z innej strony zaś piszą, że wojna jest nieunikniona, i że każdej chwili wybuchu jej się spodziewać należy. Co do nas, nie możemy uwierzyć w bliskie niebezpieczeństwo wojenne. Chyba, żeby się znowu miało sprawdzić przysłowie: kogo Bóg chce ukarać — temu rozum odbierze.

Z bieżącej chwili.

Sześciodniowe wyścigi kołowników, które się odbywały w Berlinie od 15-go do 21-go b. m. w halach wystawowych przy ogrodzie zoologicznym wobec wielkich tłumów publiczności, zainteresowały w wysokim stopniu nie tylko przyjaciół i lubowników sportu, lecz także świat lekarski, świat wiedzy.

Grono, złożone z powag lekarskich, obserwowało z dr. Willnerem na czele, działanie serc kołowników tak przed wyścigami jak też po takowych, celem zbadania muskułu sercowego, co do wytrzymałości i oporu podczas zbyt forsownej jazdy na kołowcach.

W tym celu urządzono dokładne laboratoryum roentgenowskie, zaopatrzone w główny aparat i wszelkie do dyagnozy serca potrzebne przyrządy.

Spostrzeżenia lekarskie, któremi się między innymi interesował także pruski następca tronu, osiągnęły korzystne rezultaty w świecie lekarsko-naukowym.

Zamieszczona rycina obrazuje chwilę obserwacyi serca kołownika p. Kudeli.

Nadmieniamy, iż głównymi zwycięzcami byli Amerykanie: Mac Farland i Moran, którzy odbyli przestrzeń 3865,750 km., po nich spisali się najlepiej Holandczyk Stol i Francuz Berthet.



Nowy Targ — ogólny widok.

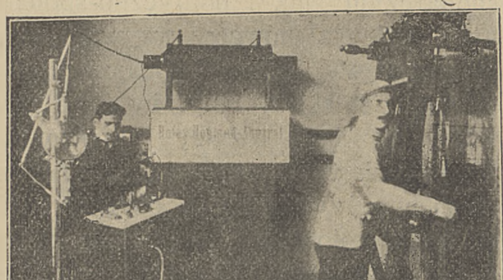
G. Smólski.

Z Podhala tatrzańskiego.

Znamy Zakopane, lecz przez Podhale przelatujemy tylko parowozem udając się do „letniej stolicy Polski.“ Ziemia ta podtatrzańska jest nie mniej przeto bardzo ciekawa i zasługuje ze wszech miar na uwagę. Z okna wagonu wygląda ona chudo: pastwiska, lasy, kamienne nieużytki, smogorzewiska (torfowiska), a gdzie oko padnie na rolę, widać tylko ziemniaki i owies. Ale lud! Jeden z najdzielniejszych jak Polska długa i szeroka. Zdawałoby się, że na skalistej, nieurodzajnej ziemi, nadto prawie zupełnie nieuprzemysłowionej lud także ubogi. Co do Podhala atoli myliłby się, ktoby to przypuszczał. Lud podhalski zamożny, a nawet w stosunkach naszych bogaty siłą rozrodczą szczepu polskiego, która gnała go do Ameryki, zkąd płyną istne skarby do jego wiosek rodzinnych. Lud podhalski dąży za zarobkiem za ocean i wraca do domu z ciężkimi dolarami. Świadczą o tem kasy raiffeisenowskie na Podhalu, rozporządzające znacznemi kapitałami, a jeszcze wymowniej szalenie w górę podpędzona cena ziemi, która w okolicy Nowego Targu i Czarnego Dunajca dochodzi za mórg austryacki (1600 kw. sążni) do 2000 koron, ziemia górska, jałowa, na której rodzi się owies i ziemniaki, a co najwięcej liche żyto. Tylko nadzwyczajne przywiązanie ludu podhalskiego, gorąca jego miłość ziemi rodzinnej tłumaczy tę ogromną cenę, co z gospodarczego punktu widzenia rzeczy możnaby nazwać marnotrawieniem pieniędzy, gdyż jałowa podhalska gleba przy tak wygórowanej cenie może co najwięcej przy dość pierwotnym stanie rolnictwa $^1/_2$% odsetkować włożone pieniądze.

Bądź co bądź ta miłość ziemi rodzinnej jest rozczulająca, a choć lud zdobywa ją wielkiemi ofiarami, nie mniej przeto zamożność ludu oddziaływa użyźniająco na całą okolicę, co w szczególności widać na Nowym Targu, stolicy Podhala, rosnącym jak na drożdżach i piękniejącym zadziwiająco.

Nie będąc kilka lat *w Nowym Targu* prawie go teraz nie poznałem. Mnóstwo nowych domów, a rynek obszerny otoczony ładnemi kamienicami, sklepy z wystawami wcale okazałemi, trzy hotele, bardzo porządna cukiernia, jednem słowem dawniejsza licha mieścina podgórska, gdzie zaledwo było można dostać co zjeść i licho przenocować, dziś przedstawia się schludnie i z wszelkiemi wygodami dla podróżującego. Nowe gimnazyum, gmach bardzo okazały i piękny, który mógł by śmiało stać w największem mieście, stanowi wielką ozdobę miasta, bardzo ożywionego. Gimnazyum jako zakład naukowy posiada tu wielkie znaczenie raz ze względu na to, iż górale podhalscy chętnie kształcą swoje dzieci, powtóre daje ono możność polskiej ludności na Orawie w Węgrzech, graniczącej z Podhalem, możność oświaty narodowej, której pod rządem madziarskim zupełnie jest pozbawioną. Dyrektorem gimnazyum jest Wielkopolanin *dr. Szkaradek Krotowski,* znany historyk i cięty publicysta, który w zupełności pojmuje zadanie swe jako kierownika zakładu naukowego na



Obserwacya lekarska serca kołownika, p. Kudeli.

Patrz artykuł: Z „bieżącej chwili.“

tak ważnym posterunku. Do gimnazyum uczęszczają przeważnie synowie chłopów podhalskich.

Lecz nie tylko wzrasta Nowy Targ, widać postęp wszędzie po wsiach. Obok góralskich chat drewnianych odbijają czerwonemi strzechami murowane domki. Wysunięte ku granicy węgierskiej *(ku Orawie)* miasteczko *Czarny Dunajec,* do niedawna tylko wielka wieś góralska z targami, zaczyna stawać się istotnie miasteczkiem, chociaż cechy góralskiej nie traci. Jest hotel, aż dwie restauracye, sklepy, powstają piętrowe kamienice, wszystko się podnosi, a miejscowa kasa raiffeisenowska posiada tak znaczne wkłady, że co do kapitału może się mierzyć z niejednym mniejszym galicyjskim bankiem prowincyalnym.

W Czarnym Dunajcu odwiedziłem *Jana Ciszka,* gazdę miejscowego, mającego dom swój w rynku przy sklepie Kółka rolniczego, osobistość, która zasługuje, żeby ją poznała nieco bliżej szersza polska publiczność czytająca. Jest to dziś już sędziwy góral — *powstaniec* z 1863-go roku, który osiadłszy po kilku latach przymusowego pobytu w głębi Rosyi i po następnym pobycie w Ameryce, na gospodarstwie ojcowskiem zajmował się i zajmuje bardzo żywo sprawami narodowemi i pracą społeczną pomiędzy ludem. Weteran mimo 61 lat — urodził się w roku 1847 w Czarnym Dunajcu — krzepki i bardzo ruchliwy przy gospodarstwie. W roku 1863 uczęszczał do 3-ciej klasy gimnazyalnej w Bochni, zkąd mając lat 16 z kilkoma kolegami poszedł do powstania, a przeszedłszy w Kieleckiem granicę dotarł do oddziału Krukowieckiego, lecz Rosyanie przeparli oddział przez granicę galicyjską, a tu Austryacy wzięli go z pewną liczbą towarzyszów broni do niewoli odstawiając ujętych do Krakowa.

— Ubrałem się w szaty niewieście — opowiada mi Ciszek — i uciekłem znowu do powstania. Miałem zamiar dotrzeć do oddziału Waligórskiego. Z Krakowa posłano nas do Dubiecka, gdzie schwycili nas Austryaki przy pomocy Rusinów; mnie i czterech towarzyszów, odsyłając nas *szupasem* do domu, mnie do Czarnego Dunajca, a ich do Kęt, bo ztamtąd byli. Ale ja nie mogłem doma wysiedzieć. Hej, człowiek był młody, krew grała w żyłach, więc czmychnąłem do Krakowa, gdzie spotykam kolegę. Ten mi powiada, że idzie do oddziału Rębajły, więc idę i ja z nim. Cztery razy przekradaliśmy się przez granicę na darmo, dopiero piąty raz udało się nam. Poszliśmy tedy do oddziału Rębajły, który prawdziwem nazwiskiem zwał się Karol Kalita. Kryliśmy się w lasach świętokrzyskich, zkąd robiliśmy wycieczki w okolice, do Daleszyc, Pierzchni, Prochnicy, gdzie robiliśmy brankę. Oddział nasz liczył coś nad 400 ludzi. Z Moskalami miewaliśmy małe potyczki, głównie z patrolami kozackiemi. Dnia



Kościół św. Anny w Nowym Targu, (wiek XIV) po odnowieniu w roku 1903.

29-go października stoczyliśmy bitwę z Moskalami. Biliśmy się zapamiętale. Z nas pozostało żywych tylko 130, reszta poległa, a Moskale leżeli jak na polu snopy. Cofając się przed przemocą — oni mieli 4 roty piechoty, 4 sotnie Kozaków, 2 szwadrony dragonów i 2 armaty — ciągle odstrzeliwaliśmy się, z każdej wioski, — a gdy pod Borzęcinem Moskale wzmocnili się jeszcze 2 rotami, wzięli nas 130 lu-



Jan Ciszek, gazda z Czarnego Dunajca, weteran z 1863-go roku.

dzi do niewoli. Moskalami dowodził generał Czengery, Madziar, były adjutant węgierskiego dowódzcy Görgeya. Nie było rady, hej nie dziw, nas była garstka, a ich chmara. Zawiedli nas do Kielc, gdzieśmy przesiedzieii 3 tygodnie. W Kielcach zastaliśmy w niewoli rozbitków oddziału Czechowskiego, a potem nas i ich wyprawiono do Radomia, z Radomia do Szydłowca, z Szydłowca do Warszawy, gdzie osadzono nas w cytadeli. Z Warszawy po tygodniu wyprawiono nas przez Dynaburg do Pskowa, gdzie gubernatorem był syn wileńskiego Murawiewa. W Pskowie obchodzono się z nami okrutnie. Potem odstawiono nas do Petersburga, a z Petersburga do Moskwy, gdzie przesiedzieliśmy w więzieniu 3 miesiące, w końcu oparliśmy się o Tulę. Tu odbyto sąd z nami i skazano nas na 3 lata do gubernii symbirskiej, a po 3 latach na czas nieograniczony na Sybir. Wtedy budowano drogę żelazną z Tuly do Orlowa. Pracowałem przy robotach ziemnych przy koleji, ale byłem w tym wieku za słaby do tak ciężkiej roboty, więc po niejakim czasie, nie pomnę już dokładnie jak długo — może po półtora roku, a może i więcej — zaniemogłem *płono* (brzydko), wtedy doktor uznał mnie za słabego do takiej roboty. Potem byłem w Rjezaniu, ale tu nam było jeszcze gorzej, trzymano nas pod zamknięciem. Tam przy robocie chociaż ciężkiej co prawda, przynajmniej człowiek poruszał się wolno na świeżem powietrzu, więc prosiliśmy doktora błagalnie, żeby uznał nas za zdrowych, byśmy napowrót mogli się dostać do roboty kolejowej . I tak się stało. I znowu zeszło całe lato. Dozorca nasz, generał Szegielnikow, był bardzo zacny człowiek. Obchodził się z nami bardzo dobrze, a gdy robota kolejowa się skończyła zachęcał nas do cierpliwości i pocieszał jak mógł. Tak zeszedł nam czas niewoli do listopada 1867. W listopadzie tego roku przybywa do nas generał Szegielnikow z błogą wieścią. Powiada nam: „Chłopcy! jesteście wolni. Rząd odstawi was swoim kosztem do granicy galicyjskiej.“ Hej, wolni! Brak mi słów, bym mógł wyrazić naszą radość. Wolni! wrócim do swoich, na swoją świętą ziemię rodzinną pod strzechę ojców......

Odstawiono nas do galicyjskiej granicy w Jaworznie, ztamtąd dostałem się do Krakowa. Byliśmy zupełnie bez środków... W Krakowie źle nas przyjęto... cierpieliśmy nędzę, hej nędzę... lecz o tem wolę nie mówić.

Potem zaraz wzięli mnie do wojska austryackiego, gdzie dosłużyłem się rangi podoficera manipulacyjnego. Gdym skończył 3 letnią służbę wojskową, osiadłem w Czarnym Dunajcu na gospodarstwie, lecz jakoś z różnych przyczyn nie wiodło mi się tutaj dobrze, więc w roku 1881 puściłem się do Ameryki, gdzie miałem w Bufallo brata stryjecznego, zajmującego się

handlem. Byłem u niego aż do jego śmierci, potem wróciłem do domu i odtąd krzątam się, jak Pan widzi, koło gospodarstwa. Mam 11 morgów pola, lecz ciężko idzie. U nas ziemia chuda, my — ja i żona starzejemy się, a z dzieci przy gospodarstwie niema pomocy, gdyż starszy mój syn chodzi w Krakowie do 6-tej klasy gimnazyalnej, a młodszy jeszcze niedorostek, niema mu więcej jak 12 lat... Józku! Józku, a chodź no tu! — zawołał na młodszego syna.

Jurny chłopak, układny i inteligentny. Widać mu to z przenikliwych oczu.

— Był także w gimnazyum, w 2-ej klasie, uczył się bardzo dobrze, cóż z tego, kiedy środki nie pozwalają mi posyłać go dalej do szkoły.



Stary góral orawski.

Gawędziliśmy jeszcze o stosunkach miejscowych, a potem pożegnałem serdecznie starego górala-weterana.

Zaiste zasługuje on na uwagę. Lecz na Podhalu nie jest to chłop wyjątkowy. Z pobliskiego Chocholowa brali udział w powstaniu r. 1863 wszyscy chłopi zdolni do noszenia broni. Lecz nie tylko Podhalanie walczyli o wolność Polski, lecz także czynili to ich bracia rodzeni oraz dzielni górale orawscy z Węgier. Opowiada o tem dr. M. Gumplowicz w swej rozprawie: „Polacy na Węgrzech“ pisząc: „Górale orawscy są dobrymi Polakami, biorąc czynny udział wraz z góralami z Podhala w powstaniu narodowem w roku 1863. Szczegółu tego udzielił mi medyk Słowak Koloman Bostolny w Liptowie, który dokładnie znał nazwiska tych górali orawskich, którzy brali udział w powstaniu.“

Niezapominajmy o tych, którzy na pamięć zasługują w szczególności co do ludu polskiego na Orawie, opuszczonego i pozbawionego oświaty ludowej. Lud to równie dzielny, jak Podhalanie.

Z żałobnej karty.

Ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki.

Dnia 23-go b. m. rano o godzinie 4 umarł w Wiedniu na udar sercowy śp. Wojciech hr. Dzieduszycki, b. prezes Koła polskiego i b. minister dla Galicyi.

Schodzi z nim do grobu jedna z najwybitniejszych postaci życia politycznego nie tylko galicyjskiego, ale wogóle całej Austryi. Indywidualność przytem na wskroś oryginalna i samodzielna, nie mająca nic wspólnego ze zwykłej miary działaczem politycznym. W rzadki bowiem sposób skojarzyli się w nim pierwszorzędny, wykształcony na klasycznych wzorach uczony i mąż stanu. I dzięki temu skojarzeniu mowy Dzieduszyckiego wznosiły się wysoko po nad zwykły poziom przemówień parlamentarnych, odznaczały się nie tylko wykwintną formą zewnętrzną, ale i niezwykłą głębokością poglądów.

Ale uczony ten, jako polityk, nie gubił się w abstrakcyach. Rozumiał on, jak rzadko kto, potrzeby praktycznego życia politycznego, liczył się należycie z danymi warunkami i był par excellence politykiem realnym. Swoją drogą umysł ten samodzielny i oryginalny nie zawsze dał się wtłaczać w ciasne ramy karności stronniczej, chociaż z drugiej strony samodzielność ta nie posuwała się nigdy tak daleko, aby przynieść miała uszczerbek sprawie publicznej.



† **Wojciech hr. Dzieduszycki.**

Śp. Wojciech hr. Dzieduszycki urodził się w roku 1848. Rozpoczął zawód pisarski od „Fantazyi“ i „Uczonych fantazyi“, i przeszedł do romansu filozoficznego „Władysław“ oraz „Powieści Wschodu i Zachodu“. Odbywszy podróż do Grecyi w r. 1874 oddawał się przez czas dłuższy badaniom sztuki plastycznej i wyniki swych badań złożył w „Atenach“, „Studyach estetycznych“, „Listach o Włoszech“, „Historyi malarstwa we Włoszech“. Studya estetyczne poprowadziły Dzieduszyckiego do badań filozoficznych i popularnego ich rozwijania. Miewał więc „Wykłady o pierwszej filozofii“ tj. metafizyce, rozbierał rozmaite systematy etyczne, mówił o spółczesnych prądach filozoficznych, materyaliźmie, pozytywizmie, pesymizmie, mistycyzmie i oceniał je zazwyczaj ze stanowiska tak zwanego zdrowego rozsądku. Część tych rozpraw zebrał w trzech książkach p. t. „Listy czytelnika“, „Roztrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej“ i „O wiedzy ludzkiej“.

Napisawszy w r. 1879 nową powieść, osnutą na dziejach cesarstwa rzymskiego p. t. „Aurelian“, zainteresował się Dzieduszycki kwestyami archeologicznemi, filologicznemi i pedagogicznemi i ogłosił cały szereg prac z tych dziedzin. Równocześnie uprawiał krytykę literacką. Potem zwróciwszy się do poezyi napisał „Baśń nad baśniami“ i „Anioła“, i wreszcie tragedyę pięcioaktową p. t. „Król Bolesław II.“

W r. 1893 Dzieduszycki mianowany został nadzwyczajnym profesorem estetyki i historyi filozofii przy niwersytecie lwowskim.

W życiu politycznem ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki wcześnie brać zaczął udział. Już w r. 1876 wybrał go obwód stanisławowski na posła do sejmu galicyjskiego. Od r. 1879 do 1886 i następnie od r. 1895 był członkiem austryackiej rady państwa. W r. 1898 otrzymał tytuł tajnego radcy, a w r. 1906 mianowany został ministrem dla Galicyi, który to urząd piastował rok niespełna.

Ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki zaliczał się do obozu konserwatywnego, którego był jedną z sił najwybitniejszych. — R. i. p.

A wy papinkarze,
Coście wszystką myśl swoją w brzuchu utopili,
Których i sam Bóg brzuchem, na co się przydacie
Krajowi? lubo wojna nastąpi, lub niewczas,
Odbieżycie obozu, i sławy, i cnoty,
Jakeście odbieżali dobrego ćwiczenia;
Niewczasom nieprzywykli, w brzydkich utopieni
Roskoszach aż po uszy. Kat po was ojczyźnie,
Lepiej żebyście byli świata nie widzieli!

Krzysztof Opaliński.

Z teatru.

Benefis p. Sznage. „Romeo i Julia.“ Benefis p. Lehrera. Jubileusz „Wesołej wdówki.“

Sobotni benefis powszechnie cenionej artystki sceny naszej pani Sznagowej liczną publiczność zwabił w mury naszego przybytku muz. Benefisantka wybrała na swój wieczór honorowy nieśmiertelną tragedyę Szekspirowską „Romeo i Julia“ i kreowała tytułową rolę z wielkiem powodzeniem. Publiczność niemilknącemi oklaskami darzyła szanowną benefisantkę, a liczne dary w wieńcach i kwiatach świadczyły najwymowniej, że artystka znalazła w grodzie naszym wielki zastęp wielbicieli swego istotnie niepospolitego i wielostronnego talentu. Entuzyazm ogólny wielki był podczas owacyi kwiatowej a doszedł do zenitu, gdy na scenie pojawił się wspaniały karton olbrzymich rozmiarów, zawierający przepyszny kapelusz najnowszego modelu, dar znanej zaszczytnie firmy K. Ignatowicz.

Przedstawienie samo niestety pozostawiało dużo do życzenia. Tak dużo, że należy je położyć pomiędzy najmniej udane całego sezonu. Snać taki już u nas los wielkich sztuk wielkiego klasycznego repertuaru! Właściwie obok Julii, tylko Kapulet p. Szatkowskiego i mamka pani Czerniakowej byli na wysokości zadania. Cała wielka reszta osób działających nie odznaczała się niczem nadzwyczajnem. Odnosi się to niestety przedewszystkiem do p. Borońskiego, któremu nieszczęsny los w postaci reżyseryi powierzył rolę Romea. Pan Boroński posiada niepoślednie aspiracye artystyczne, jest także nader użyteczną siłą w rolach nie przechodzących zakresu i skali jego uzdolnienia, lecz do roli Romea nie dorósł, stanowczo nie dorósł. To też sobotnia produkcya młodego artysty była nad wyraz słaba. Nie było tam nic z tej żywiołowości, która cechuje postać Romea, nic z tego głębokiego bólu, który drży w każdej wielkiej i prawdziwej miłości, a już zupełnie chybiona była scena w grobowcu.

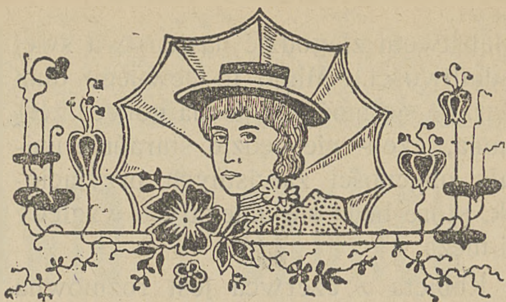
Pan Boroński nie winien, że grał tak, jak grał. Dawał, co miał i co mógł, najlepszego. Wina spada na reżyseryą, która winna się była nieco krytyczniejszem okiem przypatrzeć panu Borońskiemu i nie powierzać mu tej roli, której nie mógł nie położyć. Romea powinien był grać nie p. Boroński ani też p. Kęcki, lecz p. Andruszewski. Wiemy dobrze, że rola Romea panu Andruszewskiemu także niezupełnie odpowiada, lecz nie ulega wedle nas najmniejszej wątpliwości, że ten artysta byłby z niej zupełnie coś innego zrobił, niż to mógł zrobić p. Boroński.

Przykro nam bardzo, że taki surowy sąd o kreacyi p. Borońskiego wygłaszamy, lecz zanadto uwielbiamy Szekspira, abyśmy mieli patrzeć pobłażliwem okiem na krzywdy wyrządzane mu zupełnie niepotrzebnie.

Jeżeli dodamy do tego, że i na wyćwiczenie pomniejszych ról i na sharmonizowanie zespołu nie zwrócono należytej uwagi, dojdziemy do rezultatów wcale nie pocieszających. Starczy wskazać tylko na sposób, w jaki p. Bogusiński uważał za stósowne umierać, lub na pozbawione wszelkiej godności gesty panującego księcia, by dać słaby a wielce smutny obraz bezstylowości i braku pietyzmu, z jakim się u nas odtwarza dzieła największego koryfeusza literatury dramatycznej świata.

Inaczej operetka. Tam wszystko idzie, jak z płatka. Siły — lubo nie wybredne — każda zużyta na właściwem miejscu; widać, że troskliwa i wprawna ręka kieruje tem wszystkiem. To też nie dziw, że można było dać „Wesołą wdówkę“ po 25 raz przy wyprzedanej widowni. Jubileusz „Wesołej wdówki“ był zarazem benefisem p. Lehrera, który zaprodukował piękną uwerturę swojej kompozycyi, nagrodzoną swego czasu na konkursie muzycznym w Wiedniu. Utwór ten odznaczający się bogactwem melodyi, przejrzystością i logiką frazowań muzycznych, pełen interesujących kojarzeń harmonicznych, podobał się powszechnie. Odegrała go wzmocniona orkiestra teatralna bardzo starannie pod batutą samegoż kompozytora. Po skończeniu urządzono panu Lehrerowi wspaniałą owacyę kwiatową. Także na scenie podczas przedstawienia „Wesołej wdówki“ pojawiło się niewidziane przedtem nigdy u nas mnóstwo kwiatów, bukietów, wieńców itd. Była to prawdziwa orgia barw i woni. Każdy z solistów otrzymał wieńce i bukiety, pana dyrektora Lelewicza zaś wprost zasypano kwiatami i obwieszono i obstawiono takiem mnóstwem wieńców, palm itd., że mógłby wygodnie na laurach spoczywać. R.

Jeżlić może do cnoty mogąc pomódz leki,
Patrz żebyś próżnowania był zawsze daleki:
Robisz co, okazyja do złego upada,
Próżnujesz, obmyśli czart i robotę zada.
Wacław Potocki.



Dział kobiecy.

Horoskopy o kobiecie.

Baronowa d'Orchamps wydała niedawno książkę, zajmującą się „tajemnicami“ kobiety. Nawet u niezabobonnych czytelniczek wzbudzi zapewne zajęcie „horoskop,“ który stawia baronowa kobietom co do miesiąca urodzenia. Bezcelowa to igraszka, ale przeczytania warta.

Kobiecie urodzonej w styczniu, przepowiada spokojne życie. Jej upodobaniom i skłonnościom nic na przeszkodzie nie stanie. Obowiązki swoje jako narzeczona, żona i matka, oraz gospodyni, będzie mogła spełniać bez przerwy, tylko około pięćdziesiątego roku życia choroba przyćmi na krótki czas horyzont jej szczęścia.

O kobietach, które się urodziły w lutym, powiada horoskop, iż nie są ładne, ale zalotne. Zręczność ich stawania w odpowiedniem świetle i gustownego ubierania się, zastępuje w razie potrzeby brakujący czar i wdzięk. W młodości szczęście nie zawsze im sprzyja. Będą nawet opłakiwały utratę męża. W tym wypadku nie rzadko znajdą trwałe szczęście przy boku drugiego mężczyzny, który je będzie ubóstwiał. Będą się cieszyły wielkiem błogosławieństwem w dzieciach, a szczęśliwym znakiem będzie, gdy pierwszem dzieckiem będzie dziewczynka.

Kobieta, urodzona w marcu, jest zazdrosną i ciekawą i dlatego też w małżeństwie nieszczęśliwą. Musi się strzedz rozwodu lub separacyi. Ożeni się z nią jedynie człowiek ambitny i bez trosk.

Kobieta urodzona w kwietniu, jest rozrzutną i pragnie miłości. Musi się około dwudziestego piątego roku życia strzedz przed pewnem cierpieniem, które, jeśli go starannie nie wyleczy, zatruje jej całe życie. Mężczyźni będą na nią zastawiali sidła, a mąż ją będzie podejrzywał, ale — jeżeli sam jest wiernym i uprzedzającym — bez powodu... Przy końcu dni swoich przez swoje plotkarstwo narobi sobie wielu nieprzyjaciół.

Kobieta, urodzona w maju, będzie namiętnie kochała. Będzie to umysł tęgi, ale nie głęboki i szczery. Doskonale zato będzie umiała delikatnem po-

chlebstwem złagodzić następstwa swej gadatliwości. Mimo to pewnego dnia zdarzyć się może, iż pozna gorycz zerwania, jeżeli nie będzie starannie unikała obecności zawistnych przyjaciółek, które będą się ubiegały o względy jej męża.

Kobieta z czerwca jest rozmowna i uchodzi za bardzo przyjemną towarzyszkę. Wogóle jest nerwową, ale skoro dojdzie do równowagi, jest w szczęściu dobrą i wspaniałomyślną, w nieszczęściu odważną i oddaną.

Kobieta, która w lipcu ujrzała światło dzienne, skłania się ku awanturom miłosnym. Flirt, swobodna rozmowa i wszystko, co może męża uczynić zazdrosnym, jest żywiołem jej życia. Będą się o nią starali, ale nie będzie miała z dzieci wielkiej pociechy.

Kobieta, urodzona w sierpniu, posiada spokojny, wyrównany temperament, a błogosławieństwo w dzieciach będzie bardzo wydatne. Ponieważ z powodu swej łagodności będzie bardzo pożądaną, może być w wyborze swego męża wybredną. Mąż ten znajdzie przy niej prawdziwe szczęście i będzie miał jej do zawdzięczenia niejedną rozsądną radę.

Wrzesień jest miesiącem kobiet ciekawych, które jeżeli im się pierwsza miłość nie powiedzie, próbują szczęścia w drugiej. Są zalotne, lubią towarzystwo i stają się doskonałemi żonami.

W październiku, jak powiada gadka ludowa, kobieta rodzi się pod dobrą gwiazdą. Nikt od niej nie dozna złego, a jej głęboka i wydelikacona miłość uszczęśliwi męża. Dzieci jej będą zdrowe i ładne, jeżeli pierwsze będzie chłopcem.

Plotkarstwo ściga często kobietę, urodzoną w listopadzie. Często pozory świadczą przeciwko niej, tak bardzo lubi towarzystwo męskie i stroje. Zbawienie jej spoczywa w miłości mężczyzny, który się urodził w grudniu, będzie miała kilkoro dzieci, które ją będą ubóstwiały.

Kobieta z grudnia jest wskutek swego czaru w rysach twarzy i szczerości charakteru bardzo pociągającą. Obawiać się u niej należy napadów melancholii, które mogą się zmienić w ciężkie choroby. Słucha jednak rad i wskazówek kochanego męża, który prócz tego umie spędzać z jej czoła chmury smutku.

„D. G.“

Ciężka prawda wnet utonie,
Gdy jej forma nie pomaga;
Lekką formą wiatr powionie,
Gdy w niej prawd nie cięży waga.

Kazimierz Brodziński.

Z dziedziny hygieny.

Astma.

Napady wielkiej duszności, występujące dosyć często, nazywamy astmą albo dusznością. Właściwą przyczyną astmy jest prawdopodobnie kurcz mięśni oddechowych wskutek chorobowego wpływu nerwów, często jednak bywa dziedziczną lub powstaje po przebyciu chorób płuc. Napady najczęściej zdarzają się na wiosnę i w jesieni, przy zmianach pogody i przeziębieniach. Przed właściwym napadem uskarżają się chorzy na uczucie niedomagania, duszności i strachu. Sam napad powstaje nagle, najczęściej w nocy i tak silnie, iż chorym zdaje się, że uduszą się. Chorzy tacy powinni wystrzegać się zaziębienia, szczególniej na wiosnę i w jesieni. Pomaga im bardzo systematyczna kuracya zgęszczonem powietrzem, lecz, niestety, nie wszędzie istnieją potrzebne do tego urządzenia i przyrządy. Pojedyńczy napad można przerwać lub osłabić wdechaniem chloroformu, nalanego na chusteczkę lub watę; istnieją także pewne leki narkotyczne, w postaci papierosów sporządzone, które astmatycy palą, nieraz z dobrym skutkiem. W ciężkich wypadkach doskonale działają silne środki nasenne, lecz dopiero po wyczerpaniu innych lżejszych środków wolno ich używać i to wedle przepisu lekarza. Istnieje jeszcze t. zw. astma sercowa a przyczyna jej tkwi w unerwieniu lub osłabieniu mięśni sercowych. Przebieg jej jest znacznie gorszym, częściej i prędzej wywołuje śmierć. Chorzy na nią powinni unikać wszelkich wzruszeń i zmęczenia, szczególniej zaś gniewu. Dbać powinni o regularne wypróżnienia, mało jadać, przy pełnym bowiem żołądku, łatwo o napad. Prócz powyżej wspomnianych środków, można podczas napadu stosować środki odciągające jak gorczycznik na piersi i plecy.

Nowe książki i treść pism.

Ruchu chrześciańsko-społecznego ukazał się zeszyt 12 i zawiera:

Dr. T. Kilka słów o zabezpieczeniu macierzyństwa. — Związek katolickich towarzystw robotników polskich w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej. Zjazd księży patronów. Zjazd delegatów świeckich. — Dr. F. B. Gdzie winna być siedziba naszego Związku zawodowego? (Ciąg dalszy). — Materyał do wykładów i nauk: B. Ziemski. Ustrój polityczny cesarstwa niemieckiego. — Ruch ekonomiczno-społeczny. — Z ruchu socyalistycznego. — Socyalna obrona prawna. — Wiadomości literackie. — Oświadczenie ks. K. I. Kantaka wobec pisma hr. Tyszkiewicza z Kolbuszowej.

Nasze ryciny.

Notre Dame w Paryżu

jest starożytną katedrą, zbudowano ją od 1163 roku aż do końca XIII. stulecia w stylu romańsko gotyckim, na miejscu dwóch kościołów. W XVIII. stuleciu zmieniano budowę katedry wielokroć, wreszcie odrestaurował ją gruntownie Viollet le Duc w 1845 roku. Długość katedry wynosi 130 m., szerokość 48 m., a wysokość 35 m. W wnętrzu o 5 nawach znajduje się 37 kaplic.

O twórcy olejnego obrazu, którego podobiznę dajemy na albumowej illustracyi, — p. Stefanie Sonnewendzie — pisaliśmy już w numerze 7-ym „Pracy“ z powodu zamieszczenia w tymże numerze reprodukcyi jego olejnego obrazu „Louvre w Paryżu.“

Wiece, zjazdy, wystawy, zebrania.

* **Wiec** wyborców okręgu grudziądzko-brodnickiego odbędzie się w niedzielę, 28-go marca, o godz. $4^1/_4$ po poł. w Jabłonowie w lokalu p. Schulza (Biała Karczma).

Na porządku dziennym sprawozdanie poselskie i wolne głosy.

O liczny udział upraszają Komitety wyborcze odn. okręgu. Z p.

Dr. St. Łaszewski.

* * *

* **Roczne Walne Zebranie delegatów** Związku kupieckiego na Rzeszę niemiecką odbędzie się w Poznaniu **„Pod Bernardynami“** Plac Bernardyński nr. 2, w niedzielę, dnia 28-go marca o pół do 4-tej z poł. Zaproszenie prosimy zabrać jako legitymacyę. Kupiectwu cześć!

Stefan Cegielski, prezes. **W. Ozdowski,** sekretarz.

Materyały do historyi Miłosławia i okolicy.

Zestawił
Filip Skoraczewski,
honorowy obywatel miasta Miłosławia.

6)

7.

Miłosław za czasów Stefana Batorego.

(1576—1586).

Stefan Batory był królem myślącym i energicznym, trwale też do wytkniętego celu, do wyjednania Polsce przynależnego w Europie stanowiska dążącym, do tego zaś celu szedł dwiema drogami: najpierw przez podniesienie znaczenia mieszczan i chłopów, przez ukrócenie samowoli i ogromnej buty szlacheckiej, przez podniesienie dobrobytu i oświaty w kraju, a powtóre przez stłumienie chęci zaborczej sąsiadów.

Najgroźniejszym wówczas Polski wrogiem był Iwan Okrutny, car moskiewski. Stefan Batory wypędził go przecież zwycięzko z Inflant i poszedł za nim w kraj jego. Zdobycie stolicy Moskwy już było pewnem, ale Iwan użył wybiegu. Udał się do Ojca św. z prośbą, by mu u króla polskiego wyjednał pokój, a on za to z całym swym narodem na łono kościoła katolickiego powróci. Ucieszony Grzegórz XIII wysłał do Batorego nuncyusza, jezuitę Possewina. Batory usłuchał prośby Papieża, a Iwan się z nich wyśmiał.

Co do uzurpującego sobie rozmaite przywileje stanu szlacheckiego Stefan Batory wnet przyszedł do przekonania, że się taka gospodarka skończyć, albo cały kraj upaść musi. Najbardziej go to dotknęło, że gdy na zwołanym przezeń sejmie w Toruniu, 24 października 1576, 1 złtp. od łanu podatku na rzecz stałego wojska, które dotąd wcale nie istniało, uchwalono, szlachta, nic nie chcąc płacić, cały podatek na chłopów i mieszczan nałożyła.

Batory byłby niezawodnie nieprawidłowe stosunki nasze przez ukrócenie przywilejów szlacheckich naprawił, jak to uczynić zamierzał, ale Pan Bóg nie chciał tego i odwołał go z tego świata.

O Batorym głoszą, że się w szkole do pilnego ucznia odezwał: „ucz się chłopcze, po łacinie, a zrobię cię Mości Panem.“ W każdym razie był to król dzielny, mądry i usilnie o oświatę dbający.

Jak zaś ogólną i daleko posuniętą była oświata i jak powszechną była znajomość języka łacińskiego, świadczą jasno ówczesne miłosławskie akta wójtowskie.

Za Jagiellonów i za Stefana Batorego doszło mieszczaństwo polskie wogóle, a więc i miłosławskie, do szczytu dobrego mienia i powodzenia. Znany, a wiarogodny badacz naszej przeszłości Łukaszewicz pisze: „Za ubogiego poczytywany był rzemieślnik, albo inny mieszkaniec Poznania, któryby nie miał łyżek, kubków, mis i innych sprzętów srebrnych, któregoby żona jednego przynajmniej czepka, perłami wyszywanego, nie posiadała. Łańcuchy zaś złote, kamienie drogie, pasy lite, kosztowne futra i złotogłowia stanowiły ubiór odświętny majętniejszych mieszczan i mieszczek. Mieszczanina, posiadającego 100000 złotych majątku, nie liczono jeszcze do bogatych. Przydomek ten dawano tylko rozporządzającym krociami.“ (Rozumie się, że tu mowa tylko o mieszkańcach miast wielkich).

Jeżeli zaś zważymy, że srebro, perły, złoto etc. były dawniej wiele droższe, bo ich mniej było na świecie, jeśli dalej porównamy stan ówczesnego, jak to mówią przez szlachtę ciemiężonego, z stanem obecnego wolnego, rolę już szlachty odgrywającego mieszczaństwa, to pewnoby każdy z nas wolał owe, tak zwane polskie poddańcze czasy.

Z czasów tego króla, napotykamy też w miłosławskich aktach wójtowskich testament, gdzie także o srebrze i t. d. jest mowa.

Stefan Batory powołał też u nas do życia instytucyę, która wielce z czasem na dobrobyt i oświatę kraju naszego wpływała i dziś jeszcze jako potęga wpływa. Instytucyą tą jest poczta.

8.

Miłosław za czasów Sasów.

Smutne nastały w Polsce czasy za królów wybieralnych, tak rodaków, jak i cudzoziemców. Nim ich wielcy i mali panowie królem wybrali, handlowali się z nimi o przywileje, które zawsze na niekorzyść mieszczan i chłopów wychodziły i upadek Ojczyzny spowodowywały. Przy tem nasi wybieralni królowie pozwalali się zwykle wplątać w niepotrzebne wojny, a głównie w szwedzkie, których koszta zawsze miasta i wsie opłacały. Nikt bowiem ani swoim, ani obcym wojakom żołdu nie płacił, ale sami go sobie w formie kontrybucyi pobierali. Domy mieszkalne waliły się w Miłosławiu. Nie wyporządzano ich, bo dla kogo i na co? Wysilano się tu jednak na to, by przechodzące rozmaite wojska jak najgrzeczniej przyjmować i podejmować, by się na ich gniew nie narażać. Trzymano się nawet zasady: „kto na przedpieklu mieszka, djabła w kumotry prosić musi“, i prosili Szwedów itd. w kumotry, np. w roku 1677 25. II. jakiegoś obcego żołnierza, Sinutę N.[1]).

Tak tu daleko posunął się wszelkiego przemysłu, handlu i gospodarstwa rolnego upadek, że już nawet roli nie uprawiano, boby przecież niedojrzałe jeszcze zboże kawalerya końmi spasła.

Królowie wybieralni, jak Stefan Batory i Jan Sobieski, byli rzeczywiście wielkimi, ale, albo magnaci nimi rządzili, albo Marysienki za nos ich wodziły, a wszystko to działo się na mieszczan i chłopów szkodę. Magnaci wybierali sobie królów jakby parobków, a biada była tym, którzyby się wyemancypować pragnęli.

Pierwszym królem Sasem był u nas August II, elektor saski, (1697—1706 i 1709—1733). Pierwszy występ jego, odebranie Turkom Podola z Kamieńcem, bardzo go wysoko u nas postawił, ale następne czyny i zabiegi króla tego tylko klęski na kraj nasz, a szczegółowo także na Miłosław sprowadziły. August namówiony przez cara rosyjskiego, Piotra W., wdał się z nim razem w wojnę z Szwedami, która bogatą dzielnicę naszą w pustynię zamieniła. Dziedzice Miłosławia byli przecież krewnymi Macieja Radomickiego, wojewody i generała Wielkopolskiego, który buńczucznie, choć wcale

[1]) Metryki chrztów w Miłosławiu.

nie skutecznie, Szwedom na czele pospolitego ruszenia stawiając czoło, ich zemstę wywoływał. Rodzonym tego Macieja, dziedzica żerkowskiego, bratem był miłosławski dziedzic Władysław Radomicki. To też tak samo, jak Żerków, spustoszyli żołnierze Karola XII Miłosław. Dzicz zaś tę naśladowały w dziele niszczenia miasteczka naszego, ilekroć im tutaj obozować, a choćby tylko przechodzić wypadało, moskiewskie, saskie, a nawet polskie wojska. Że zaś te pochody często się powtarzały, Miłosław podupadł zupełnie. Nietylko bowiem wszelkie zabierano kosztowności i wogóle przedmioty wartościowe i pożywienie wszelkie, ale bezczeszczono i plugawiono rodziny. Przemocą mianowicie rozrywano rodzinne, przez kościół uświęcone związki. Rozuzdane żołdactwo, nie mordując, mniemało, iż wyświadcza łaskę.

Nie tylko zanikł w Miłosławiu wszelki przemysł i handel, nie tylko role stały odłogiem, ale i domy stały pustką, bo co lepsza, szlachetniejsza część mieszczaństwa, albo do szeregów wojskowych, albo do lasów się schroniła, albo też powędrowała w inne strony, gdzie się za bezpieczniejszą uważała. Pozostali dyplomatyzowali po swojemu, każdemu wojsku pozornie życzliwość okazując, raz tego, drugi raz owego w komotry prosząc. Czasami nie wiedzieli nawet rodzice, jak się chrzestny ich dziecka nazywał; czasami innych rzeczy nie byli pewnymi. Winnogórskie księgi chrztów wielu nam wykazują chrzestnych żołnierzy, ale i miłosławskie nie milczą w tym względzie. Przytaczamy parę przykładów.

Wojciech Lassota, żołnierz, chrzestnym w Winnogórze 19. III. 1699.

Gustaw Czermin, szwedzki żołnierz, kwatermistrz, chrzestnym w Miłosławiu r. 1705.

Żołnierz, Nobilis, Wułan, (ułan) chrzestnym w Miłosławiu, r. 1707.

Stanisław Piekarski, G. żołnierz, chrzestnym roku 1707.

Żołnierz saski chrzestnym w Winogórze, 4. II. 1711 r.

Wojciech Szymański, ciura wojskowy, chrzestnym w Winnogórze, 26. II. 1711 i t. d.

Stanisław Zieliński, żołnierz pieszy (miles pedestris), chrzestnym w Winnogórze 11. IV. 1712 i t. d.

Dla uwydatnienia smutnych stosunków wojskowych i krajowych wogóle, a dla wykazania dbałości kleru naszego o dobro ojczyzny, przytaczamy tu notatkę z ksiąg kościelnych bardzkich ks. prob. Macieja Krajewskiego, o ile takową odczytać zdołaliśmy.

„Fuit Capitalis Contributio, persoluta modo charitativi Subsidii pro Regni Poloniae exercitu a totissimo Clero, a Curatis per Tymphones tres, a Ministris Ecclesiae per Tymphonem. Anno 1717, die 24 Maii cum (?) concesione Sedis Apostolicae: Sed (?) prohibitio (?) acceleravit... S. Summi Pontifices ne persoloitur. Dedimus post modum.“

Zacne duchowieństwo zebrało między sobą na rzecz polskiego, żołdu nieodbierającego, a stąd zniechęconego i rozchodzącego się, lub nawet do rabunku przymuszonego wojska dobrowolną r. 1717 składkę.

Po Auguście II nastąpił, choć właściwie Leszczyńskiego królem wybrano, August IIII, Sas, 1733—1763. Mniej on jeszcze, jak jego rodzic dbał o Polskę, mniej też w niej siedział. Jak August II, tak i on starał się dobrze jeść i pić, rozpustować i naród nasz w każdym kierunku demoralizować. Obok tego , za przykładem ojca i ministra Brühla starał się jak najwięcej z biednej Polski wycisnąć pieniędzy i takowe zaraz do Drezna wywoził, gdzie za nie galerye obrazów zakładał i monumentalne gmachy budował. O czasach tych świadczą i dziś wyraźnie terasy Brühla i muzeum „Grünes Gewölbe“ zwane. Wiele tam polskich pamiątek, a gdy zapytasz dozórcy, co to za przedmioty, odpowie, że to „pamiątka z tych czasów, kiedy to Polska do Saksonii należała.“

August pochłaniał garnce piwa, szlachta beczki wina, a mieszczanie i chłopi do przesytu gorzałką się raczyli. Pili mężczyźni, zbytkowały kobiety. Naród cały, z nielicznemi tylko wyjątkami, naśladując króla, lubował się we wszystkich namiętnościach i zdrożnościach. Kostki i karty były głównemi prawie zatrudnieniami. Hazard kwitł w zamienionych na salony francuskie komnatach szlacheckich, a stąd wciskał się pomiędzy wszystkie społeczeństwa warstwy. Ulubioną zabawką króla było strzelanie z okna do psów, ścierwem zwabionych, ale tylko wtedy, gdy po orgiach wypoczywał. Dziesiątki tysięcy równocześnie biednego ludu marło z głodu, ale tego król nie widział, bo to nie byli ani psy, ani Sasi. Nie tylko liczne sejmy, prócz jednego, nie przychodziły do skutku, ale i sądy rozpędzano. Wszelkie wymierzanie sprawiedliwości ludziom biednym ustało.

Jednakże w tem saskiem u nas piekle, zaczęły się tu i owdzie ujawniać szlachetne dążności odrodzenia się narodu. Prawda, że Pan Bóg, na domiar naszej niedoli, nawiedzał nas także niebywałemi posuchami i powodziami, ale gdy już kary zrównoważyły grzechy, zlitował się nad Polską i zesłał jej promyk wiary i nadziei.

Za czasów drugiego Sasa Miłosław był pod względem finansowym zupełnie zrujnowanym i zdemoralizowanym. Już ani dworowi, ani krajowi nie mógł opłacać podatków i coraz więcej mnożyło się mieszkań pustych. Mogły w nich swobodnie gospodarować przebywające tu często wojska pruskie, ale takowe chętniej sobie w zamieszkałych domach, wśród rodzin, obierały kwatery.

W sąsiedniej Winnogórze. wsi biskupiej, często w tym czasie spotykamy przy chrzcielnicy żołnierzy biskupich. Wnosimy z tego, iż książe biskup Czartoryski, członek magnackiej rodziny, która stanęła w szeregu nielicznych pracowników, co uczciwie o zmianie złego na dobre u nas przemyśliwała, miał przez jakiś czas w Winnogórze, celem odpierania najezdców, stałą załogę. Wypisujemy tu kilku z tych wojaków, oraz datę ich poznania:

Ignacy Wyrzykowski, G. żołnierz Celsissimi Principis, 6. V. 1748.

Jan Myszewicz, strenuus miles księcia biskupa poznańskiego, 22. IX. 1748.

Kasper Gross, żonaty żołnierz, strenuus biskupa poznańskiego, 9. II. 1749.

Karól Henneberg, strenuus żołnierz biskupa, 9. II. 1749 roku i t. d.

Czy Gross i Heneberg byli pozakrajowymi najemnikami? Przypuszczaćby można.

Przeważnie lata 1748 i 1749 wielu nam takich wykazują biskupich żołnierzy, ale w innych latach pojedyńczo nam się takowi przedstawiają.

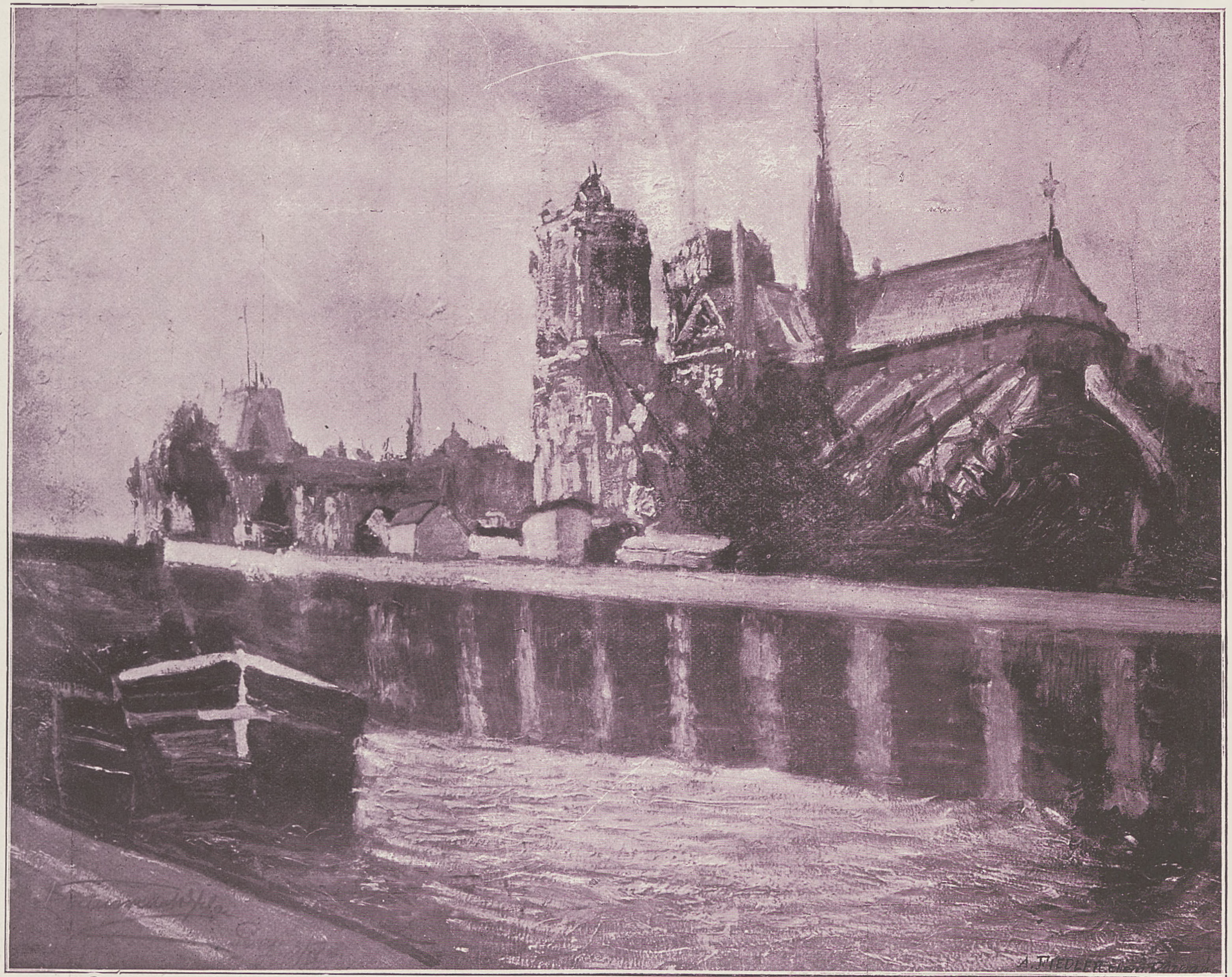
Za czasów Augusta III zauważyliśmy tu w Miłosławiu z żołnierzy królestwa polskiego tylko Marchwata chrzestnym r. 1736.

Celem dokładniejszego przedstawienia smutnych stosunków, jakie w ostatnich latach panowania Augusta III, a w pierwszych latach panowania Stanisława Poniatowskiego u nas zachodziły, przytaczamy tu ówczesne, w księgach kościelnych bardzkich pomieszczone zapiski:

„1761:

Opisanie roku 1761 A... przez księdza Jakóba Taberskiego, plebana Bardzkiego i jego ciężkości. Najprzód myszy *Ano Dni 1761* podczas żniw bardzo wiele było na polu — żarły zboże, słomę na ćwierć łokcia na polu — i słomę na ćwierć, na pół ćwiercia łokcia polskiego przegryzały w stodołach: jako mrówek bardzo dość było, białe pod brzuchami, a starsze czarne, lub żółtawe, cepami po 10—20 młócili. Słomę w stodołach woły etc jeść nie chciały, tylko także wpół każdego... a się rozdzieliły z gospodarzami, tylko plew więcej niż zboża.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

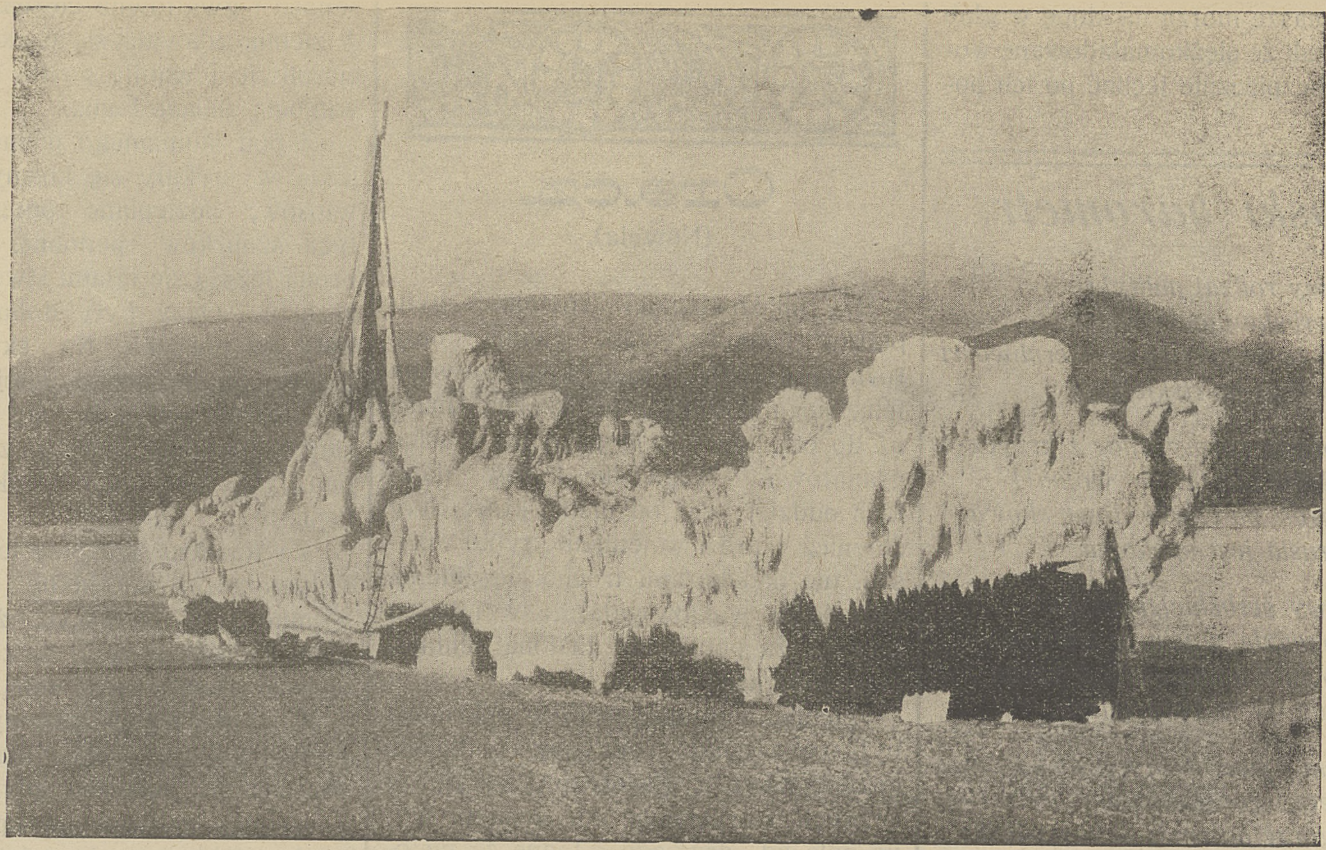


Stefan Sonnewendt.

Album „Pracy“.

Notre-Dame w Paryżu.

„Drukiem Pracy“.



Rosyjska zima: Zamarznięty okręt na Czarnem morzu.

Nam daje się dotkliwie uczuć zimno już przy 15 stopniach Celsiusza; na to trzeba w Rosyi 35 stopni. W takim mrozie zamarzają już wszędzie okręty. Powyższa illustracya przedstawia okręt na Czarnem morzu, otoczony zewsząd lodami. Załoga, skazana na nieczynność, skraca sobie czas, jedząc, bawiąc się, śpiąc. Samowar oczywiście ciągle w ruchu. Para wydobywająca się z okrętu, śnieg i wiatr, tworzą najdziwaczniejsze kryształy lodowe; jak złudną jest n. p. głowa kapitana na prawo od masztu itd.

O mroźnych zimach dawnych lat.

Ostatnia ciężka zima, jaka panowała u nas, przypomina nam dawne srogie zimy. Do takich zaliczyć należy mianowicie zimę w r. 763 i 764, kiedyto Czarne morze tak zamarzło, że można było po zamarzniętej powierzchni podróżować w przestrzeni kilkuset mil. W r. 839 i 1234 można było pieszo przejść morze Adryatyckie i dostać się do Wenecyi. W strasznych zimach z roku 1305, 1320, 1323, 1399, 1423, 1438, 1546 i 1599 można było po morzu Bałtyckiem podróżować wozem lub konno z Lubeki, Rostoku i Gdańska; łatwo więc można było dostać się do Kopenhagi. Dla wygody podróżujących pobudowano na lodzie chaty, jako miejsca schronienia i spoczynku szczególnie w nocy. Roku 1400 prowadził zakon niemiecki wojsko po lodzie z Rosyi do Prus. Roku 1514 trwał mróz od św. Michała do Gromnicy 1515 r., wskutek tego musiano zboże trzeć, lub mleć w żarnach, bo młyny wcale nie funkcyonowały. W r. 1635 i 1637 odbywała się komunikacya tak wozem jak saniami po zamarzniętej Łabie od Hamburga aż do Brockdorfu i św. Małgorzaty; grubość lodu pod Hamburgiem wynosiła pół metra; wielu podróżnych umarzło. W r. 1642 ptaki marzły w powietrzu, a dzikie zwierzęta po lasach. W r. 1655 wozili wieśniacy z braku wody lód, aby napoić bydło. W r. 1658 w lutym prowadził król szwedzki Karol X wojsko, artyleryę i bagaże po lodzie najpierw przez Mały Belt do Fünen, a stąd przez Laaland i Falster do Zelandyi, i wymusił pokój w Reszkilden. W r. 1667 można było jeszcze pierwszego kwietnia przejść po zamarzniętej powierzchni jeziora Zuiderskiego. W r. 1674 srożyły się mrozy i śnieżyce od 9 stycznia do 24 marca. Ludzie jako też i zwierzęta nie mogli znaleźć bezpiecznej kryjówki przed mrozem. Można było po lodzie przejść na Helgoland, a w Hamburgu dał się we znaki brak drzewa opałowego. Jak silny był lód na Elbie jeszcze w marcu, świadczy o tem fakt, że winiarze postawili na nim beczkę, objętości 75 wiader. W r. 1709 trwała zima w całej Europie do końca kwietnia; silniejsza od niej była zima z r. 1739 na 1740. Rozpoczęła się z końcem października, wielu podróżnych mróz pozbawił życia, a dzikie zwierzęta szukały schronienia w siedzibach ludzkich. Dopiero w czerwcu drzewa zaczęły się zielenić, a z końcem lipca rozwinęły się róże. Mróz sięgał wówczas 30 stopni R. Wyżej o 1 stopień sięgał mróz 1788 r., kiedy to jeszcze 13 marca mróz dosięgał 17 stopni, a dopiero 10 kwietnia zaczęło tajać. Podobna zima była r. 1809, przez co wielu żołnierzy na strażach straciło życie. W r. 1841 na 1842 nie można było 97 dni żeglować po Elbie. W roku 1844 na 1845 zima rozpoczęła się już pierwszego listopada i trwała do końca kwietnia. Pod Blankenezą rozsadzano lów prochem; dzięki temu mogły niektóre z tych 260 okrętów, które bądź całą zimę spędziły w Kuxhaven, bądź też przybyły tamże w ostatnich miesiącach i czekały stosownej pory, wówczas wreszcie przybyć do portu w Hamburgu; wskutek ostrej zimy powstały ogromne powodzie w górnym i dolnym biegu Elby pod miastami: Bremą, Oldenburgiem, Frankfurtem, Kolonią itd. Nawet jeszcze w pierwszy dzień Wielkanocy przejechał pod Hopte przez Elbę wóz z 45 centnarami ciężaru, a 12 marca przejechał wóz z 25 centnarami ciężaru przez Merwę w Holandyi. Lód był gruby na 5 stóp. Z Alzacyi przeszły wilki Ren i przyszły do Badenu. Z braku wody stanęły nawet fabryki w Hadze. W Warszawie dosięgało zimno 28 stopni a śnieg był na 12 stóp wysoki. Na Menie urządzono 9 marca strzelanie do celu.

Po co jednak sięgać daleko w przeszłość. Czytelnicy przypomną sobie zimy z lat 1870 na 71 i z 1885, kiedyto

wszystkie nasze morza na stopę w głąb zamarzły, tak że ciężko naładowane wozy mogły bezpiecznie jechać po ich powierzchni.

Serbski barometr.

Ciekawy rodzaj polityki
Tej serbsko-machiawelskiej,
Znieść te krętactwa — cierpliwości
Zaiste trza anielskiej!

W bojowe surmy dmie i krzyczy:
„Pardonu niema! — wojna!!“
Jak struś, po chwili głowę chowa,
Jak trusia jest spokojna.

Motywy serbskiej polityki
W pogodzie, słocie, w wietrze —
Symbolu dla niej szukać trzeba
Jedynie — w barometrze.

W nim żywe srebro tkwi na dole:
To Jerzy gorączkowy,
A w górze próżnia: to zawartość
Przeciętnej serbskiej głowy.

Jeśli od strony Rosyi wietrzyk
Cieplutki ku nim wieje:
To barometer się podnosi
I Serbia — ma nadzieję.

A jeśli tam koło batiuszki
Horyzont się zachmurzy:
Barometr zaraz na łeb leci
W przeczuciu groźnej burzy.

Z uwagą śledzą gazeciarze
Pogody horoskopy:
Kłopocą nieustannie głowę
Stroskanej Europy...

Aż przyjdzie pora, gdy barometr
Na owem miejscu stanie —
Gdzie na rtęć czeka wypisane
Dla butnych śmiałków: lanie.

„Śmigus“.

Ostra droga do sławy, a kto o nią stoi,
Ani oków, ani on i śmierci się boi.
Przyjdzie umrzeć każdemu, ale kto żelazem
Legł w posłudze koronnej, ten kwitnie zarazem;
Tego rydl i motyka z pamięcią nie grzebie,
Kto ręki nie szanuje i zdrowia w potrzebie.

Kasper Miaskowski.

* * *

Nie oglądajcie się na stateczność, ale na pożytek ludzki: bo trwanie przy złem i szkodliwem nie czyni żadnego zalecenia statku męskiego, ale raczej upornym się być i głupim taki pokazuje, kto ze złego nie wychodzi, a z błota, w które wpadł, nie powstaje.

Piotr Skarga.

Oracz.

(Nowela).

Na mazowieckiej równinie było płasko i powszednio. Ziemia, niby rozlana szeroko i zlekka rozkołysana fala, sięgała szarą, bezbrzeżną masą aż do ostatniej linii horyzontu. Wąska, granatowa wstążeczka borów dalekich oddzielała ją od nieba, które były również szare i w jednem tylko miejscu, tuż nad borami trochę się żółciło. Żółtość ta wskazywała, że w miejscu owem, za popielatą zasłoną chmur, słońce dogasa.

Ziemia, jak oko sięgało, pokrajana była w zagony, a te pasy podłużne, gdzieniegdzie zygzakowane, biegły w różnych kierunkach, odznaczając jedno pole od drugiego. Jedne z nieforemnych płatów gruntu były całkowicie czarne, inne miały barwę brunatną, inne wreszcie wyjaśniały się stopniowo, dochodząc do bladej popielatości, co nasuwało mimowoli przypuszczenie, iż do tuszu, którym krajobraz wymalowano, dolewał malarz coraz więcej wody.

Tu i owdzie stała, niby na straży, grusza polna, odosobniona, smętna, cicha. Gdzieindziej grunt zagłębiał się trochę, a w zagłębieniu tem, wilgotnem zapewne, rosła olszyna o liściach połyskujących. Największa kępa zieloności, utworzona z lip przysadzistych i wysmukłych topoli, służyła za zasłonę niewidzianej wiosce, która kryła się za nią, jak za parawanem.

Istnienie tej wioski rozpoznawało się jedynie suchem powonieniem.

Wiatr, ten sam chłodny, przedwieczorny wiatr, który szeleściał w suchych trawach i staremu oraczowi rozwiewał długie siwe włosy, przynosił z ukrytych siedzib ludzkich dźwięki i zapachy. Słyszało się głuchy pomruk basetli, przygrywającej w karczmie, oraz przeciągłe „hej,“ wyrzucane z piersi podpiłego parobczaka; czuło się ostrą woń razowca, pieczonego w sołtysowej chałupie, oraz rzeźwiący aromat kawy, którą przypalała na patelni gospodyni proboszcza.

Tam było wesoło i huczno; tu panował smutek i cisza głucha.

Starzec wyglądał, jakby go przygniatało brzemię całego stulecia. Suwał się raczej niż stąpał. Plecy zgięte miał w kabłąk, głowę w dół zwieszoną, nos długi, ostry i zakrzywiony nakształt dziobu starego sokoła. Cała jego postawa wyrażała najwyższą bezsilność i gwałtowne ciężenie ku ziemi. A ziemia zdawała się czekać nań niecierpliwie i wabiła go na swe czarne, wilgocią ziejące łono...

Z pod słomianego podartego kapelusza wymykały się kosmyki siwych włosów, pozlepiane potem i do białych sznurków podobne. Wystająca broda jeżyła się igłami siwego również zarostu. Oczy były dołami; dołami były też policzki. Na skroniach, na szczęce i na wyschniętej szyi setki zmarszczek plątały się nieforemną siatką, podobne do tych zygzowatych linii, jakie żłobi mól w okładce starej księgi.

Za każdem szarpnięciem koni starzec zataczał się, jakby miał upaść. Trudno było uwierzyć, że to on pługiem kieruje; pług to raczej dawał mu oparcie i wlókł go za sobą.

Co kilka chwil stawały konie, zatrzymywał się pług, a starzec zanosił się suchym, bezwdzięcznym kaszlem. Kaszel ten dziwnie przypominał tępy odgłos, jaki sprawia zabijanie trumny ćwiekami. Ale zaledwie kaszel ustał, konie z wysiłkiem szły dalej, a błyszczące żelazo wrzynało się w ziemię, odwalając czarne bryły na prawo i na lewo. Oracz nie myślał o odpoczynku i czujne oczy przenosił z ziemi na niebo, porównywając ilość drogi, jaką mają jeszcze do przebycia pług i słońce.

Sine jego wargi i szczęki bezzębne poruszały się jakby coś żując. Żuł słowa, z trudem dobywające się z ust. Szepleniący głos jego dobiegał chwilami aż do mnie.

Starzec mówił:

— Uszy moje ogłuchły, oczy nijak nie widzą... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nademną!...

„Nogi moje już się nie ruszają, życie moje kończy się... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nademną!...

„Serce moje zemglone i uciśnione, łzy wsyćkie wypłakałem... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nademną!...“

Tego starca odmawiającego litanię konających, widziałem przed tygodniem w miasteczku.

Lekarz powiatowy, człek sprężysty, który ludziom biednym udzielał „konsultacyi“ (porady) przez lufcik, podczas gdy oni z odkrytemi głowami stali na bruku ulicznym, mówił do niego, zaciągając się dymem cygara:

— Do trumny, dziadu! do trumny!... Patrzcie go! sto lat dziadzisku i jeszcze mu żyć się chce!...

A sędziwy wieśniak tylko białą głową potrząsał, jęcząc głucho:

— Oj, wielmożny panie!... oj!...

Więc kiedym teraz starca tego przy pracy ujrzał, nie mogłem się powstrzymać od zawołania:



Siostry misyjne w podróży na koniach.*)

Wielka odległość osad, brak mostów i uciążliwe, częstokroć bardzo strome ścieżki, są powodem, że Siostry podobnie jak Misyonarze, muszą w tych podróżach posługiwać się końmi.

*) Z Natalu, górzystej, lecz żyznej krainy we wschodniej części Afryki południowej, liczącej przeszło pół miliona mieszkańców, Kafrów, Holendrów i Anglików, należącej od roku 1835 do Anglii, ale mającej samorząd, dajemy cztery ryciny, wzięte z życia Kafrów i działalności misyjnej między nimi Sióstr i OO. Trapistów. — Objaśnienie poszczególne zamieszczone jest pod każdą ryciną. — Przyp. Redakcyi.

— Ozdrowieliście widać, ojcze, kiedy za pługiem chodzicie!...

Przystanął, zaczerpnął w pierś powietrza i głosem, jakby ze studni wychodzącym, odrzekł:

— Bogać tam ozdrowiałem... Chodzę, bo na ozimkę (ozimina) trza grunt zorać... Ale ino te dwie skiby ostatnie zrusę, zaraz bandzie koniec wsyćkiemu...

— Więc spodziewacie się doczekać plonów?

— Uchowaj, Jezusie!... Mnie jesce w tym tygodniu w świętą ziemię zakopią...

— Skąd wiecie o tem?

Podniósł siwe brwi wysoko i usta w milczeniu otworzył, jakby go zapytanie to nadzwyczaj dziwiło. Potem głową potrząsnął i rzekł z naciskiem:

— Wim i tyla...

Konięta tymczasem zdobyły się na nowy wysiłek i o kilka kroków dalej pociągnęły pług wraz z oraczem.

Gdy znowu trójca ta zatrzymała się, ponowiłem pytanie.

— Jeśli nie spodziewacie się plonów — rzekłem — dla kogóż rolę tę orzecie?

I to pytanie wydało mu się niepojętem.

— Dla kogo? — odparł, dziwiąc się. — A juści nie dla siebie... Dla tych orzę, co tu po mnie przyńdą!

I, przerywając rozmowę, hukać jął na konie, aby zawróciły na nowy, ostatni już zagon.

Pożegnałem starca pozdrowieniem Chrystusowem i odszedłem w swoją stronę.

Słowa jego jednak zapadły mi w duszę głęboko.

Powtarzałem je sobie aż do ukazania się gwiazd na niebie, a gdym przed zamknięciem oczu na sen rozmyślał, jak zawsze, o śmierci, wydała mi się ona czemś tak nieznacznem i niepochwytnem, jak w tęczy przejście od jednej barwy do drugiej....

R. Grouge.

ZDRADA.

Obrazek wojenny.

Dnia 19-go stycznia 1871, wśród strasznej zawieruchy bojowej pod Buzenval'em, na grzbiecie muru, okalacego zamek ukazało się nagle dwóch ludzi, splecionych ramionami i stoczyło się następnie w śnieg w śmiertelnym uścisku.

Jeden był żołnierzem badeńskim, drugi gwardzistą francuskim. Od chwili, kiedy się spotkały ich pułki, rzucali się na siebie, sami nie wiedząc dlaczego, z całą zażartością, wygrażając sobie kolbami karabinów i bagnetami, uganiając za sobą po polu walki, przeskakując poległych, kłując na prawo i lewo walczących, którzy im zawadzali, ażeby módz spotkać się i nasycić wzajemnie nienawiść do tego, w którym każdy z nich widział uosobienie nieprzyjaciela.

Przyparty do muru, wdrapał się nań gwardzista, z bagnetem w zębach. Zaledwo stanął na szczycie, dogonił go Prusak. Chwycili się za gardło i już oczy wyłaziły im z orbit, kiedy zmiótł ich huragan kartaczów.

Jak długo w tym uścisku w kałuży krwi leżeli?... Ani jeden, ani drugi nigdy nie umiał sobie zdać sprawy.

Gwardzista pierwszy odzyskał przytomność. Otworzył oczy, zobaczył noc, usłyszał chrapanie i wymówił z trudnością: „pić!...“

Wówczas głos gardlany, wydobywający się z ust przytulonych do jego twarzy, powtórzył jak echo „pić!...“

Żołnierz francuski cofnął się gwałtownym ruchem, który mu jęk bólu wyrwał z piersi.

— Jeszcześ tu, Prusaku?!

Coś, jakby uczucie obowiązkowej nienawiści uderzyło mu do głowy: zaczął szukać swojego bagnetu, ale spostrzegł się prędko, że był bez broni: czarna banda przechodziła już tędy z pewnością i obdarła go.

Zresztą zdziwił się, że nie odczuwa już tej samej co przedtem za-

wziętości wobec nieprzyjaciela. A także, zanadto cierpiał, ażeby mógł unosić się gniewem.

— A więc — zaczął znów — to ty Prusaku?... Dobrze mnie urządzili twoi kamraci!... Do pioruna! Ani nóg, ani krzyżów już nie czuję!...

— Ja brzuch mam rozszarpany! — jęknął Badeńczyk.

— Co?... ty mówisz po francusku?

— Jestem z Kehl.

— A ja ze Strasburga... Jeden kraj, nad Renem, co!... Dostałem za swoje! Co do mnie, drwię sobie ze śmierci, ale moi biedni starzy...

— Ja także mam starych...

— Dawno jesteś żołnierzem?

— Cztery miesiące... Odbyłem prawie całą kampanię!...

— Nazywasz się?

— Rehbach.

— A ja Kholer... Znasz Strasburg?

— Tak, byłem tam dwa razy.

— Mieszkają w małym domku po prawej stronie mostu...

— Kto?

— Moi rodzice... Ojciec stary, matka zawsze chora... utrzymywałem ich, pracując w garbarni... dobre bardzo rzemiosło... Kiedy wyjeżdżałem, matka ściskała mię ze wszystkich sił: „Nie zobaczę cię już — mówiła — mój biedny chłopcze!...“ Matki, widzisz, muszą miewać przeczucie...

Cisza zapadła... Po równinie przeciągał wiatr mroźny.

Nagle odgłos tłumionego łkania zwrócił uwagę Prusaka.

— Ty płaczesz? — zapytał Francuza.

Ten płakał istotnie.

— Słuchaj — mówił przez łzy — jeżeli jeden z nas wyjdzie z tego cało, to zaniesie pozdrowienie rodzicom drugiego... Mam medal, portmonetkę, nóż... Wszystko to im zaniesiesz... A także, pocieszysz ich, prawda?... Ostatecznie, dlaczego mamy sobie źle życzyć... Niedawno byłbym cię zabił jak psa... Teraz mam zaufanie do ciebie... Podaj mi rękę, chcesz?

Ale ruch, jaki usiłowali zrobić dwaj ranni, ażeby się pojednać, przyprawiał każdego z nich o straszniejsze jeszcze cierpienia.

— Oh!... jakże mi się pić chce! — zaczął znów Badeńczyk.

— Czekaj... „kruki“ ukradli mi broń, ładownicę, trzewiki, ale zostawili mi manierkę... Musi tam być jeszcze trochę zimnej kawy... Nie ruszaj się... spróbuję wlać ci do gardła...

Kosztem tysiąca tortur podniósł się na pół gwardzista i wcisnął flaszkę między zęby Badeńczyka.

— Huczy mi w uszach... wyszeptał ten ostatni.



Siostra misyjna uczy Kafrów katechizmu.

— A mnie się w oczach mieni...

Głosy dwóch nieprzyjaciół zamierały zwolna... Dokoła nich panowała dysharmonia, powstała z wycia wichru, wrzasków ptaków nocnych i jęków rannych... Kiedy niekiedy rozlegało się w dali nawoływanie warty, suchy odgłos strzału. Potem wszystko ucichło i zdało się gwardziście, że słyszy dolatujące go z Paryża echo pogromu...

Jego ręka chwyciła rękę Prusaka...

— Żegnam cię, stary... Idziemy razem... Nie gniewasz się już, powiedz... Obaj jesteśmy żołnierzami... uczciwymi ludźmi... nie z jednej ojczyzny, z jednego kraju jednak... Głupia jest wojna!... W końcu, widzisz... dobrześmy się bili... a o to przecie tylko chodziło... No, dobranoc ci kompanio... i niech żyje Francya!...

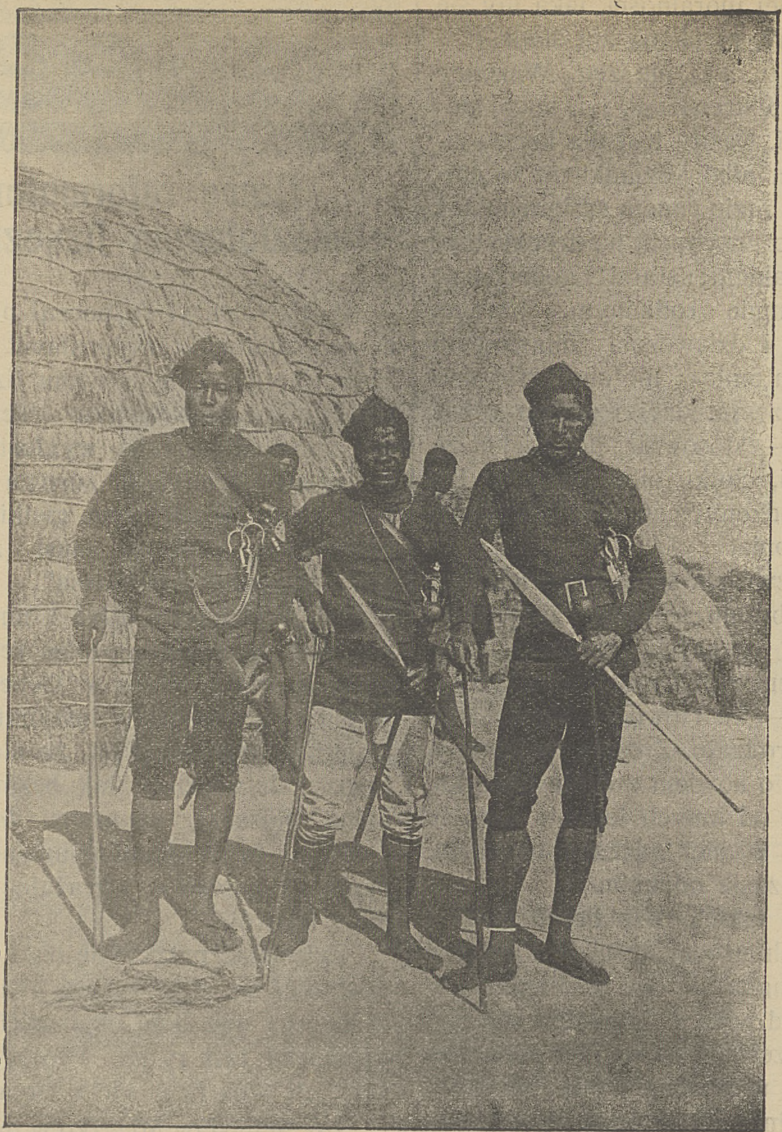
W tej chwili śnieg zaczął padać, pokrywając pole walki białym całunem... Z różnych stron ukazały się pochodnie; to ambulansjerzy dwóch stron walczących szli rozpoznawać i zabierać swoje trupy.

Kiedy przyszli pod mur zamku, znaleźli Badeńczyka i gwardzistę francuskiego trzymających się za ręce.

Bo kto do tyla duszę swą zuboży,
Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
I dobrowolnie w prochach się położy,
Jak samobójca pierś splamiwszy smętną:
Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel,
I nawet pamięć jego będzie wstrętna.
Adam Asnyk.

Zgoda.

Jedna zmiana na lepsze namby się przydała:
Żeby większa w pośród nas zgoda panowała,
Żeby lada drobnostka, słówko bez znaczenia
Nie było już powodem nieporozumienia.
Niech ten powie „przecinek“, tamten woła „kropka“,
I od słowa do słowa już gotowa szopka.
Rzecz błaha, co nie warta ani torby sieczki
Przyczyną dłuższych gniewów i burzliwej sprzeczki.
Prawimy ładne mówki o bratniej miłości,
A tak jeden drugiemu wszystkiego zazdrości!
Gdy się dobrych znajomych, zacnego sąsiada
I nieraz bliskich krewnych złośliwie obgada.
Często przyczyną waśni jest zazdrość, obmowa,
Niesłuszne posądzenia i krzywdzące słowa,
Których się nie prostuje, nieraz chętnie słucha
I z dodatkiem znów innym powtarza do ucha.
Gdy to w plotkarskiem kole dłużej się obraca,
Co ptaszkiem wyleciało — to wołem powraca.



Kaferscy policyści.

Dobrze wyćwiczeni, roztropni i wierni, oddają dotąd wielką pomoc organom policyi europejskiej w Natalu. Z krajowymi mieszkańcami bardzo dobrze obeznani, są prawie niezbędni przy wyszukiwaniu złoczyńców. W gorących okolicach Natalu, chodzą, jak wskazuje rycina, bez obuwia; w wyższych zaś, zimniejszych okolicach górskich noszą długie spodnie, obuwie i kamasze. Uzbrojenie ich składa się z assagaja, laski, jeżeli zaś są na koniu, mają rewolwer. Krępowanie złoczyńcy odbywa się z nadzwyczajną szybkością, do czego przyczyniają się nadzwyczaj praktyczne, samozamykalne pętlice. Jak takie okowy wyglądają, można dość dokładnie widzieć na pasie pierwszego policyanta na lewo.

A wybory prezesów, posłów, dyrektorów!
Ileż tam scen burzliwych, ile kłótni, sporów!
Nie umiemy pokonać wzajemnych niechęci,
Niełatwo przebaczamy, jesteśmy zawzięci!
Ta niezgoda czepia się wszystkich u nas stanów,
Panuje w wiejskich chatach, po miastach, wśród panów.
Gracz polski, co w procesach wrogi rząd zbogaca,
W gadzinowym funduszu przeciw nam się zwraca.
Mamy bielmo na oczach, sideł nie widzimy,
Wróg podstępnie podburza — a my się kłócimy.
Już prawnuki pradziadów myśmy nieodrodni!
Bo i oni coprawda nie byli też zgodni,
Gdy szabel dobywali za lada podnietą,
A na sejmach wołali: nie pozwalam, „veto!“
Inne czasy. Gdy Polska wolnym była krajem,
Szczęk oręża rycerskim bywał obyczajem.
Dziś, gdy brutalna przemoc wrogów tak nas tłoczy,
Niechże miłość i zgoda wszystkich nas jednoczy.
Porzućmy uprzedzenia, niech znikną prywaty,
O zgodę niech się stara biedny i bogaty.
Gdzie potrzeba, wzajemnie sobie pomagajmy,
O haśle „swój do swego“ zawsze pamiętajmy!
Gdy taka zgodna praca wszystkie stany zbrata,
Wyrobi nam dobrobyt i uznanie świata.

Fl. Żor.

Wino baczkajskie.

Jak daleko sięga wstecz pamięć ludzka, zawsze wino odgrywało wielką rolę przy wielkich ceremoniach, obrzędach i zabawach. Przykład patryarchy Noego nie odstraszał potomnych; w winie topili swe smutki, winem krzepili się na boje, o winie śpiewali setki piosenek — wino było zawsze i wszędzie. Ci, którzy ku napojowi temu szczególną czuli słabość, nie wahali się cytować nieraz ustępów Pisma św., mówiącego na którémś miejscu, „iż wino rozwesela serce człowieka“.

Był nawet czas, kiedy sentencyę tę stosowano wyłącznie do wina węgierskiego, a specyalnie do wina królów i króla win — „szlachetnego“ tokaja. Bo wierzono w jego naturalne pochodzenie od słynnych gron tokajskich, tak samo, jak wierzono i w to, że każde wino, kupione na Węgrzech, musi być prawdziwe. Tak było niegdyś. Z upadkiem średniowiecza upadło i to wierzenie, a wino węgierskie straciło już raz na zawsze swoją sławę za granicą jedynie przez praktyki zawodowych fałszerzy, którzy bardziej podkopali handel winem, niż wszystkie spustoszenia filoksery.

Dziś — z wyjątkiem tak urodzajnych lat, jak rok ostatni — trudno na Węgrzech o wino prawdziwe. Natomiast dobrego wina można dostać zawsze, ponieważ podrabiacze różnych gatunków wina tak są wprawni i biegli w tem zyskownem rzemiośle, że umieją za pomocą rozmaitych chemikalii nadawać znakomity smak i barwę — i potrzeba rzeczywistego znawcy, aby mógł dowieść oszustwa.

Tymczasem za znawcę uważa się każdy, kto wypił parę litrów wina w życiu. Taki najczęściej chwali „węgrzyna“ i popija w dalszym ciągu preparat, zrodzony w jakiejś piwnicy pod Pesztem, ale „trącący myszką“ i dziwnie mile łechcący podniebienie. Ile szkodliwych dla zdrowia ingredencyj mieści się w tym napoju, o tem nikt nie myśli.

Jest jednak na Węgrzech — pisze Czesław Łukaszkiewicz w „Ziarnie“ — zakątek, gdzie wina nikt nie fałszuje. To Baczka, czyli komitat Basc — Bodrog.

Rodzące się na jego polach wino, jest stałym przedmiotem zazdrości tych, którzy nie umieli zdobyć się na taką solidarność, a zarazem pewnego rodzaju rozrzutność, objawiającą się w

konsumowaniu całkowitego zbioru z winnic. Baczkajczycy są bogaci — mogą sobie na to pozwolić.

Ludność tego „szczęśliwego“ komitatu nie jest bynajmniej jednolita narodowościowo. Są tam Serbowie, Madziarzy i Niemcy. Mają oni rozmaite obyczaje, mówią różnymi językami, ale łączy ich wszystkich wspólny kult dla owocu winnej latorośli. Przebija się to najlepiej w ich pieśniach, nuconych podczas „winobrania“, ochoczej zabawy, odpowiadających naszym dożynkom. Jedynie melodya jest inna — słowa prawie te same.

Flegmatyczny i nieruchawy Szwab baczkajski zawodzi matowym, jakby stale zakatarzonym głosem:

„Nie sprzedam ja wina
Nikomu,
Ani go zaniosę
Do domu,
Boby żona żydom
Sprzedała,
A mnieby wykpiła
Wieś cała! Hu! Hu!“

A więc i Niemiec nie chce sprzedać swego zbioru, albo też droży się tylko, żeby większą cenę wytargować.

Wązki w piersiach, a szeroki w barach chłop serbski o sumiastym wąsie, łypie wielkiemi białkami i wykrzykuje monotonnnie:

„Wino było, wino jest!
Wino było, wino jest!
Czegóż więcej chcieć?
Czegóż więcej chcieć?“

I drepci swoje „koło“, dzikie i zawrotne, nerwowe, jak taniec św. Wita.

Najgorętszy to już Madziar. Oburącz wąsa podkręcił, czarny, okrągły kapelusik uniósł w górę i pełną piersią nuci:

„Wielki Boże Węgrów!
Daj każdemu, co chce —
Weź wszystkich do nieba.
A biednych Madziarów
Posadź choćby w piekle,
Albo pośród Niemców —
Ale im nie odmów
Co dzień beczki wina.
Baczkajskiego wina!“

To wino, będące alfą i omegą wszelkiej mądrości, wszelkiej ekonomii i wszelkiej polityki, jest zawsze pierwszym i nieodstępnym motywem każdej czynności Baczkajczyków.

Apostołowie poczwórnej wstrzemięźliwości znaleźliby olbrzymie pole do działania w tym uroczym zakątku Węgier.

Wino zaciera widocznie granice etyczne; popełnia się tu wszystkie możliwe głupstwa bez zamiaru, bez zastanowienia, ale za to przy każdej sposobności. Tej przeciętnej moralności, jaką my się np. szczycimy, tu niema ani śladu.

Etykiety tu nikt nie zna. Wszyscy są ze sobą spokrewnieni, lub bodaj dobrzy znajomi. Każdy jest dla kogoś jakimś stryjem albo dziadkiem, w najgorszym zaś razie panem sąsiadem. Już w godzinę po przybyciu na uroczystość byłem swojakiem; starsi gospodarze tytułowali mnie rodzonym bratem, młodsi zaś i dziewczęta miastowym wujem, ja natomiast, nie chcąc się wyodrębniać, czemprędzej uznałem różne Baczkajki — stosownie do wieku za babki, matki, ciotki, albo kumy, a ich mężów za rodzonych stryjów i kuzynów różnego stopnia.

Wino rozwesela serce człowieka.

Po winobraniu w jakiś czas następuje świeża zabawa, rampasz. Nie wiem, jak ten wyraz przetłómaczyć. — Misz masz — to i owo — bigos, czy coś w tym rodzaju. Zresztą mniejsza o nazwę, jest to bowiem zwykła pijatyka, różniąca się od innych jedynie tem, że uczestniczy w niej większa gromada, niż np. w czasie odpustu.

Podobno takich rozmaitych świąt i tradycyjnych uroczystości jest jeszcze więcej, a ciągną się one w długim łańcuchu, dokąd wina w beczkach starczy. Dobry Bóg ześle deszczu, ile trzeba, ziemia zawsze urodzajna wyda plon poczwórny, winne grona będą znowu miały wielkość śliwki — to też mało kto pracuje tu na seryo, a już napewne nikt nie troszczy się o jutro.

Zaiste, jeśli raj nie był w dolinie Eufratu, to jest w dolinie baczkajskiej!

Kiedy w młodości czasu niezmierne szczodroty,
Matka rzeczy na żywe sypała istoty,
Innym moc i oręże rozdała w posagi:
Człowiek z trochą światełka stał w środku nich nagi.
Zdawało się, że postać naprzód zginie nasza:
Lew ją kłem, słoń ogromem, wół rogiem przestrasza;
Słabszy zwierz, ale który wziął roztropność w podział,
Zjadł wołu, siadł na słonia, lwią się skórą odział.

Stanisław Trembecki.

* * *

Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych,
Śmiejmy się z głupich choć i przewielebnych.

Ignacy Krasicki.

* * *

Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa!

Fr. Karpiński.

Nowy reformator wykształcenia fizycznego.

W Szwajcaryi rozpoczął propagandę reformator, który postawił sobie za zadanie połączenie rozwoju fizycznego młodzieży z estetycznym. Ten wybitny człowiek nie tylko wygłosił oklepane „w zdrowem ciele zdrowa dusza“, lecz dodał, „w zdrowem, giętkiem i pięknem ciele, mieszkać musi zdrowa i odczuwająca piękno dusza“.

Jakób Dalcroze, gdyż o nim to mowa, jest skromnym profesorem w instytucie muzycznym w Genewie. Posiadając rzeczywisty instynkt obserwacyjny, spostrzegł on, że nic tak nie umuzykalnia dzieci, jak bezpretensyonalne piosenki, *chansons de gestes,* śpiewane przy akompanjamencie fortepionu, oraz gestów, wyrażających rytm ich i nastrój.

Zgłębiając przyczynę tego zjawiska, dostrzegł on, iż podstawą nietylko muzyki, lecz wszelkiej czynności w życiu człowieka jest rytm. Prototypem rytmu jest puls czyli bicie serca.

Już Stanisław Mleczko w pracy swojej „Serce a heksametr“ zauważył, iż rytm tętna sercowego wykształca formę bardzo wielu zjawisk biologicznych. Praca kowala, czy poety ulega jednakowo zasadom rytmu.

Wychowanie współczesne spacza poczucie tempa, które bardzo silnie wyraża się u ludzi, żyjących w stanie natury.

Aby czynność ludzka była rytmiczna, musi człowiek mieć doskonale rozwinięte nietylko system mięsny i kostny, lecz co ważniejsza system stawów. Giętkość członków, nadająca mieszkańcom Jawy tyle wdzięku, jest następstwem właściwego wyćwiczenia stawów.

Samodzielność i niezależność oddzielnych członków ciała jest ideałem, do którego dąży cały system gimnastyki Dalcroze'a, przezwanej przez autora „rytmiczną“. Odbywa się ona stale przy dźwiękach muzyki. Za pomocą odpowiednich akordów raz wyrażane bywają nuty pełne, innym razem pół nuty, ćwierć, ósemki itd.

Stosownie do taktu ruchy dzieci są szybsze lub powolniejsze. Cała metoda systematycznie uwzględnia fakt, iż podczas ruchu głębokość oddechu czterokrotnie powiększa się w stosunku do stania lub siedzenia. To też wszystkie niemal ruchy są dokonywane podczas



Kafrzy sprzątają t. zw. amabele czyli proso olbrzymie.

marszu. Dzięki temu zarazem dziecko nie nabywa tej drewnianej niezręczności, która jest cechą charakterystyczną wielu ćwiczeń niemieckich.

Aby wydoskonalić samodzielność kończyny, dokonywać one muszą obok ćwiczeń symetrycznych całego szeregu asymetrycznych jednocześnie obu rękoma, ewentualnie nogami. Ćwiczenia te w olbrzymiej większości ograniczają się do ruchów prostych: chodzenia, mówienia, śpiewu, gestów naturalnych, a wszystko jest dokonywane z precyzyą i naturalnie, bez nieśmiałości i ruchów zbytecznych. Zdaje się nam, że widzimy obraz z waz etruskich, lub obrazów greckich, przedstawiających ruchy modlitewne kapłanek, lub ćwiczące się na polach Sparty młode obywatelki greckie.

Uwaga jest niezbędnym atutem przy wykonywaniu ćwiczeń rytmicznych, ale wkrótce ulega ona takiemu wyćwiczeniu, iż czynności te stają się automatycznemi. Nawet dziecko, całkowicie pozbawione słuchu, a więc nie umiejące przystosować swego kroku do tempa muzyki, wkrótce przezwycięża przeszkody i nabywa tej najkardynalniejszej podstawy muzykalności. Jednocześnie wzmagająca się giętkość stawów czyni ciało coraz elastyczniejszem i mocniejszem, a ruchy stają się bardziej okrągłe, pełne gracyi. Może mniej szczęśliwym, aczkolwiek poważnym atutem dla rozwoju uwagi i woli jest komenda „hop“, na którą dziecko zmienia ruch momentalnie.

Oceniając wartość gimnastyki rytmicznej, która nie dąży i nie może zastąpić ćwiczeń greckich, musimy wskazać wielką wartość współrzędnego stosowania obu metod.

Gimnastyka Dalcroze'a, rozwijająca zarówno kończyny, jak tułów, oraz szyję i głowę, budzi w człowieku cywilizowanym ową pierwotną rytmiczność ruchów żywych i oddziaływa na różnorodne strony jego wychowania.

Był, jest i będzie!

Był naród polski już przed lat tysiącem,
Za panowania Mieszka i Chrobrego,
Co słynął wiarą i sercem gorącem,
Męztwem, miłością Boga i bliźniego!

Był naród polski! wsławiony czynami
Swych Kazimierzów, Łokietków i Janów,
Gromił pohańców pod Wiednia murami,
Stawał w obronie obcych państw i stanów.

Był naród polski! wie o tem świat cały,
Bo przeszłość jego wielka, niezatarta...
Pełna tryumfów i dziejowej chwały,
Więc zawsze, wszędzie czci i wspomnień warta!

Jest naród polski! chociaż z woli Boga,
Nie wolny, wielki, jak ongi potężny —
Lecz choć dziś jego ciernistą jest droga,
Idzie nią zawsze silny, ufny, mężny!

Jest naród polski!—ma Arcykapłanów,
Co strzegą iskier żnicza ojczystego —
Ma Mickiewiczów i innych Hetmanów,
Co płoną duchem wielkich przodków Jego!

Jest naród polski! — ma on silnych mężów,
I dzielne Polki — co Chrzanowskiej śladem
Bronią twierdz jego, nie szczękiem orężów,
Lecz pracą, szczytnym dla dziatek przykładem!

Będzie ród polski! mimo ciężkich krzyży,
Które nań może kładzie Ojców wina...
Przed sądem Boga naród czoło zniży—
U Niego losy i ufność jedyna! —

Będzie ród polski! — ma on dużo hartu,
A stojąc mężnie przy swojej Macierzy,
Nie da się połknąć choćby z piekła czartu,
Bo w dniach doświadczeń w pomoc Bożą wierzy!...

Będzie ród polski! ten głos z serca wznoszę,
Niechaj nam smutek na twarzach nie siędzie,
W górę więc serca! — jako Polak proszę —
Bo naród polski jak był, jest, tak będzie!

Poniec. Bolesław Laurentowski, organista.

Tak wielu występkom i wadom poddan jest żywot człowieczy, iż jeślibyśmy wiele rzeczy nie przebaczali, a występków sobie zobopólnie nie odpuszczali, niedługoby to towarzystwo a złączenie ludzkie trwało.

Andrzej Frycz Modrzewski.

Wesoły złodziej.

(Humoreska).

Po załatwieniu wstępnych formalności, mówi sędzia do oskarżonego o kradzież Bartka:

— Więc macie 55 lat?

— Tak, panie sędzio. „Starość nie radość.“

— Czy wy wiecie, że za czyn popełniony czeka was surowa kara?

— Tak! „Bóg za złe karze, a za dobre wynagradza.“

— Co was do tej kradzieży spowodowało?

— Ot, „bez pracy nie będzie kołaczy.“

— Kradzież to przecież nie praca!

— Proszę pana sędziego: „Pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki.“

— Głupstwa gadacie. Odpowiadajcie na pytanie!

— Tak: „Głupich nie sieją, sami się rodzą.“

— Przyznaliście się, że już was raz sąd za kradzież karał.

— Tak: To było już dawno, kiedym był młody: „Każdy początek jest trudny,“ panie sędzio.

— Wy wiecie, że macie mówić szczerą prawdę.

— Tak, panie sędzio. Wiem, wiem. „Prawda zawsze na wierzch wylizie.“

— Powiedzcie mi, o której porze zakradliście się do domu pana B.

— „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje,“ panie sędzio, ja sobie tak myślał, że Boga oszukać nie można.

— Odpowiadajcie krótko na moje pytanie.

— Panie sędzio! „Co się prędko wznieci to nie długo świeci.“

Zniecierpliwiony sędzia przerywa i woła ze złością: — Odpowiadajcie tylko, o co was pytam, a nie gadajcie niepotrzebnych rzeczy.

— Z przeproszeniem prześwietnego sądu, „Nie od razu Kraków zbudowany“, a „Co nagle to po dyable.“

— Jeżeli mi nie będziecie odpowiadali na moje pytania, to każę was za nieposłuszeństwo do kozy wsadzić.

— Panie sędzio „Z dużej chmury mały deszcz“, a „Co tobie nie miło, tego drugiemu nie czyń.“

— Czy przyznajecie się, żeście u pana B. w nocy z 10-go na 11-go zeszłego miesiąca skradli 17 kur?

— Panie sędzio! „Co za wiele to nie zdrowo,“ a „łatwiej komu radzić niż dopomódz.“ Co prawda, tyle nie było, ale tak na pewnika nie wiem, ile tam tego mogło być.

— Czy to były młode czy stare kury?

— „Dobre słowo mało kosztuje, a wiele pomaga“, a co do starości ich, to tylko wiem, że „nie godzi się pogardzać starymi, bo każdy będzie stary.“ Zresztą „jest cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.“

— Sędzia i ławnicy wybuchają głośnym śmiechem.

— Panie sędzio, przepraszam, że tak.....

— Co chcecie powiedzieć? pyta sędzia.

— „Po śmiechu poznać głupiego“ i „rozpusta ciało i duszę gubi.“

— Więc to prawda, żeście te kury ukradli?

— Co robić, panie sędzio. „Mało a dobrze“; trzeba „więcej słuchać, niż mówić,“ bo „im więcej cierpliwości tem więcej mądrości.“

— Za kradzież, której się dopuściliście, skazuje was sąd na cztery tygodnie więzienia i koszta. Czy macie przeciwko temu co do powiedzenia?

— „Czego unikać nie można, trzeba cierpliwie znosić.“ Toć pan sędzia wie, że „dał ci Bóg dary, używaj miary, a co te koszta...... no....... „Starczyło na ryby, to i na pieprz starczy,“ ale to panu sędziemu powiem, że „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada,“ a „mściwy zawsze dwa razy traci.“

— Czy zgadzacie się na karę?

— Cóż robić! „Staropolska jest cnota, przed nikim nie zamknąć wrota.“ Do więzienia już pójdę i na nikogo sarkać nie będę, bo „kto za tobą kamieniem, to ty za nim chlebem“ i— „miej nad każdem stworzeniem miłosierdzie.“

Nadesłał czytelnik „Pracy,“

Józef Marciniak z Wickede-Asseln.

Wiadomości.

* **Tow. Czytelni Ludowych** prosi panów wydawców, aby zechcieli nadesłać bezpłatnie po jednym egzemplarzu z nowych nakładów swoich celem ich oceny i ewent. zakupu. Warunki: treść odpowiednia, trwały papier i wyraźny druk. Spieszne załatwienie jest bardzo pożądane, ponieważ recenzya, zamówienie i oprawa wiele zajmie czasu, a wysyłka do poszczególnych dzielnic i bibliotek już przy końcu maja rozpocząć się powinna.

Adres: Centr. biuro Tow. Czytelni ludowych. Poznań — Posen. Strzelecka 31 — Schützenstr.

Mieczysław Neyman.

* **Stowarzyszenie personału żeńskiego w handlu i przemyśle** rozszerza od 1-go kwietnia działalność swego biura bezpłatnego pośrednictwa w pracy, zamieniając zarazem nazwę na: **„Biuro informacyjne dla kobiet pracujących w handlu i przemyśle.“**

Sprawozdanie zeszłoroczne wykazało stały przypływ zgłoszeń o posady, jako i miejsc podanych przez pracodawców, co podniosło znacznie cyfrę umieszczeń. Zachęcone tak pomyślnym rezultatem, pragniemy udostępnić pośrednictwo nasze szerszym kołom kobiet pracujących w handlu i przemyśle.

Zadaniem obecnego biura będzie udzielanie wszelkich informacyi, dotyczących spraw kobiet pracujących w handlu i przemyśle tak w miejscu jak w prowincyach ościennych i to:

1) Wskazywanie posad i pośredniczenie w ich uzyskaniu.

2) Zapewnienie opieki nad członkami wychodzącymi na obczyznę.

3) Wyszukanie odpowiednich pensyonatów w obcych miastach.

4) Wynajdywanie nowych nie wyzyskanych dotąd źródeł pracy kobiecej.

6) Wskazywanie miejscowości, instytucyi i kursów nauk zawodowych n. p. książkowości, korespondencyi handlowej, stenografii, pisania na maszynie, krawieczyzny, szycia białego, stroju, haftu, pończosznictwa i t. d.

Towarzystwa zamiejscowe oraz osoby prywatne pracujące w handlu i przemyśle prosimy o zgłaszanie się po bliższe objaśnienia do „Biura Informacyjnego“ przy ulicy Teatralnej nr. 5 w składzie papieru firmy Marya Okoniewska, gdzie można także zapisać się na członka Personału żeńskiego w handlu i przemyśle.

Stowarzyszeniom zamiejscowym roześlemy wkrótce komunikaty, dotyczące czynności biura.

Stowarzyszenie personału żeńskiego w handlu i przemyśle w Poznaniu.

* **Bank Przemysłowców.** W kasie oszczędności wpłacono w lutym r. b. 1 715 745,53 marek, a wypłacono 1 000 600,56 mrk.; w tymże miesiącu roku zeszłego wpłacono: 960 559,90 mrk., a wypłacono 1 007 491,12 mrk., od 1-go stycznia r. b. wpłacono 3 720 401,91 mrk., a wypłacono marek 2 864 440,01; stan w dniu 1-go marca 1909 roku: 19 687 082,36 mrk., przed rokiem było 15 459 798,97 marek.

Na udziały wpłacono w lutym 62 157,93 marek. Stan udziałów wynosił w dniu 28-go lutego r. b. 6 066 851,25 mrk.

* **Esperanto w handlu.** Na zaznaczenie zasługuje bardzo doniosły fakt, dowodzący znaczenia praktycznego języka Esperanto w świecie handlowym. Komitet międzynarodowej wystawy sztuki, pracy, odżywiania i hygieny, wystawy, która ma się odbyć w marcu i kwietniu w Bolonii, postanowił przyjąć Esperanto jako jedyny język w stosunkach z zagranicą. — W Poznaniu język ten rozwija się bardzo pomyślnie. Lekcye odbywają się we wtorki i czwartki wieczorem przy ulicy św. Marcina nr. 4.

* **Z miasta.** Dnia 2-go lutego r. b. odbyło się walne zebranie Tow. ogrodniczego na Poznań i okolicę. Tow. liczy obecnie 24 członków. Posiedzeń odbyło się w roku 9. Na posiedzeniach zajmowano się pouczającymi odczyta-

mi i wykładami w zakres ogrodnictwa wchodzącymi naprzykład: Warzywnictwo inspektowe i rolne, o szkodnikach ogrodnictwa, pomologia, choroba agrestu i jej zwalczanie i t. p. Na zebrania w Domu katolickim uczęszczało przeciętnie 15—22 członków z kilkoma gośćmi. Towarzystwo urządziło 2 wycieczki i jednę zabawę zimową. Pierwszą wycieczkę do Tarc, drugą do Zawad i Główny, zwiedzając ogrodnictwa lokalne tak kwiatowo-przemysłowe jako też warzywne. Majątek Tow. wynosi 318,25 m., na książce znajduje się 289,25 mrk., u skarbnika 29 mrk. Do biblioteki abonuje się następujące tygodniki resp. miesięczniki: „Ogrodnictwo“ wyd. z Krakowa, „Ogród“ z Warszawy, „Przemysłowca“ i „Poradnika Gospodarczego“ z Poznania. Biblioteka zaopatrzona jest nadto w kilka bardzo cennych dzieł. — Do zarządu zostało na nowo obranych trzech członków i to: przewodniczący pan Marciniec, zastępca przew. p. K. Witkowski, skarbnik pan Maciej Baranowski, z nowych wybrani zostali pan A. Majewicz, sekretarzem, pan K. Stachowiak, zastępcą, bibliotekarzem pan St. Tomiak, ławnikami pp. Staniszewski i Gogulski.

St. Majewicz, sekretarz.

* **Lidzbark** Z. Pr. d. 16. III. 1909. Na wiecu ostatnim za specyalnem staraniem p. starosty Bardzkiego zawiązało się parafialne stowarzyszenie „Straży.“ Na zebraniu było obecne szanowne Duchowieństwo i redaktor pan Bona z Grudziądza. — Zarząd tworzą: prezes p. Teodor Turzyński, skarbnik p. Konstanty Ćwikliński z Lidzbarka, sekretarz p. Szczepan Zawadzki z Ciborza.

Obecnie należy do stowarzyszenia 60 osób.

Pierwsze kwartalne zebranie odbędzie się w niedzielę dnia 9-go maja o 5-tej godz. po poł. u p. M. Wojciechowskiego w Lidzbarku.

* **Thamm** na Łużycach, d. 17. 3. 09. Zjednoczenie zawodowe polskie założyło od 1-go marca b. r. osobny sekretaryat na obwód braniborsko-saski i to na prastarem cmentarzysku, zwanem Łużycami. Bliższemi informacyami służy chętnie p. Józef Regulski w Thamm b. Senftenberg N. L. Mittelstrasse 1.

* **Dla biednego weterana** z 1863-go roku nadesłała pani „Esjotka“ z Gostynia 10 mrk. Kwotę tę doręczyliśmy komu należało. O dalsze nadesłanie składek na cel powyższy bardzo prosimy.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. kanonik Klemens Luedtke,** dziekan tumski i oficyał dyecezyi chełmińskiej, dnia 16-go b. m. w Chojnicach w 68-ym roku życia, a 44 roku kapłaństwa. Oficyałem był już za czasów zmarłego ś. p. biskupa Leona Rednera, po jego śmierci 1898 roku obrany został przez kapitułę pelplińską administratorem dyecezyi — po wyborze ks. biskupa Rosentretera znów mianowanym został oficyałem. Zmarły cieszył się wielkiemi wpływami u rządu, — **Ś. p. Jan Czachurski,** gorliwy czytelnik „Pracy,“ dawniej zamieszkały w Lubaszu pod Czarnkowem, dnia 17-go b. m. w Trzciance, przeżywszy lat 62. — **Ś. p. Michalina z Młotowskich Górska,** żona mistrza piekarskiego, dnia 17-go b. m. w Poznaniu, w 41-ym roku życia. — **Ś. p. Teofila Dąbkiewicz z domu Piasecka,** wdowa, dnia 16-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 55. — **Ś. p. Adam Majewski,** dnia 19-go b. m. w Inowrocławiu. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Wielebnemu ks. Z. w Wolsztynie.** — Notatkę o zeszłoczwartkowem walnem zebraniu Banku ludowego odebraliśmy dnia 23-go b. m., a zeszyt niniejszy ma datę 28-go marca; więc zamieszczenie **post festum** nie miałoby celu.

— **Czytelnikom tym wszystkim,** — którzy nam nadesłali bardzo wiele **łamigłówek, zagadek** i t. p. dziękujemy za łaskawą pamięć i jednocześnie oświadczamy, iż starczy nam ich na czas dłuższy, prosimy więc na razie wstrzymać dalsze nadesłanie.

— **Panu Ludwikowi S. w Żarnówce. (Galicya).** — Rozwiązanie zagadki z nr. 10-go odebraliśmy za późno. — Za pozdrowienie i życzenie „szczęśliwego rozwoju kochanej „Pracy,““ oraz za słowa: „„Praca“ mi się bardzo podoba, ryciny albumowe są prześliczne“ serdecznie dziękukjemy i mile pozdrawiamy.

— **Janka z pod Góry Przemysława** — upraszamy o łaskawe podanie dokładnego adresu (imienia, nazwiska, ulicy i numeru) celem wysłania przeznaczonej nagrody.

— **Pani Bercie B. w R. (Górny Śląsk).** — Nie zawsze mamy zbytnie miejsce, ale ile możności uczynimy zadość życzeniu Szan. Pani (patrz numer dzisiejszy).

— **Panu Dr. R. R. w Kr.** — 1) Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt. Przewodniczącą jest pani profesorowa H. Jakowicka w Poznaniu przy ulicy Ogrodowej 13. 2) Najprzewielebniejszy ksiądz Biskup dr. Likowski interesuje się także takiemi osobami, 3) „Straż,“ która naszem zdaniem powinna udzielić pewnych wskazówek i t. d.

— **Panu S. S. w K. (Prusy Zachodnie).** — Radzimy szczerze Szan. Panu udać się z całem zaufaniem do p. dra Stanisława Grossmanna, zamieszkałego w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 14. I., który jest prezesem Towarzystwa naukowej pomocy im. K. Marcinkowskiego.

— **Panu I. P. w Bochum.** — Statystyki takiej nie posiadamy, więc informacyą służyć nie możemy. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **Panu Józefowi R. w Thamm.** — „Pracę“ przekazaliśmy tamtejszej poczcie dla „Zjednoczenia“ na obwód XVI. od 1. 4. r. b. pod adresem Szan. Pana.

Kalendarzyk historyczny

Dnia 28-go marca 1383 sejm elekcyjny w Sieradzu. — 1657 Rakoczy siedmiogrodzki wjeżdża do Krakowa. — 1795 Kurlandia poddaje się Moskwie. 1707 na zjeździe lubelskim ogłoszono bezkrólewie. — 1831 powstanie w Felszach.

Dnia 29-go marca 1079 rzucona klątwa na Bolesława Śmiałego. — 1656 pobicie Szwedów pod Warszawą. — 1790 przymierze króla pruskiego z Polską ku wzajemnej obronie. — 1793 manifest Moskwy poprzedzający zabór. — 1831 powstanie w powiecie upitskim i zdobycie Poniewieża.

Dnia 30-go marca 1475 pożar Krakowa. — 1428 traktat pokoju z Węgrami w Kesmarku. — 1657 Szwedzi wzywają Rakoczego do złożenia hołdu. — 1675 sejm elekcyjny. — 1831 powstanie w Szawlach. — 1848 uformowanie i wymarsz z Paryża legionu polskiego.

Dnia 31-go marca 1683 przymierze Jana Sobieskiego z Austryą. — 1831 zniesienie Moskwy pod Wawrem i Dębem. — 1831 rada wojenna w Gliniancu.

Dnia 1-go kwietnia 1455 śmierć Zbigniewa Oleśnickiego, kardynała. — 1548 śmierć Zygmunta I. — 1632 sejm nadzwyczajny ostatni za Zygmunta III. — 1640 urodzenie Zygmunta Wazy, syna Władysława IV. — 1831 pogoń za Moskwą i bitwa pod Kałuszynem.

Dnia 2-go kwietnia 1640 śmierć Marcina Sarbiewskiego. — 1658 śmierć Andrzeja Leszczyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1702 śmierć hetmana Stanisława Jabłonowskiego.

Dnia 3-go kwietnia 1025 śmierć Bolesława Chrobrego. — 1241 spalenie Krakowa przez Tatarów. — 1831 powstanie w powiecie dziśnieńskim i w Trokach.

Reklamy.

Humor i satyra.

Mądra Ryfka.

Srul nie czyścił butów , jak rok długi.

Ale pewnego razu rozciął skórę o ostry kamień i musiał posłać but do szewca.

Szewc przyszczypkę dał i odesłał but wyglancowany jak lustro!...

— Ryfka! — zawołał Srul zirytowany — popatrz co mi ten gałgan szewc narobił! Na złość wyglancował mi but, bo wie, że drugi jest biały od błota... Co ja teraz zrobię? Nie mogę przecież chodzić w jednym bucie czarnym, a w jednym białym! Żeby on kiszki złomał ten szewc! Teraz muszę kupić czernidła i pucować buty! A szwarc jur!

— Jeszcze czego!? — oburzyła się Ryfka. — Wyrzucisz niepotrzebnie pieniądze! Idź na podwórze, wsadź ten wyglancowany but do błota i będą oba jednakowe.

— Taki recht! wykrzyknął Srul uradowany i za pół godziny przeszedł dumny ze swego kawału pod oknami szewca w obydwu zabłoconych butach!

* * *

Coby miało być!

— Coby było, panie Kacper, żeby tak w powietrzu pękł teraz ten balon?

— Coby miało być! „Stojałoby“ jutro we wszystkich gazetach!

Racya fizyka.

Godzina 1-sza w nocy.

Członek towarzystwa opieki nad zwierzętami do dorożkarza „nocnego.“

— Człowieku, jak możesz używać do jazdy chorego i starego konia?

— Et, po nocy, proszę pana, to i tak nic nie widać!

* * *

Rozczarowanie.

— Słyszałeś, podobno bankier Kugelbube zbankrutował?

— A to się dopiero zmartwi jego zięć, hrabia Golicki.

— Czyż tak kocha swego teścia?

— Nie, ale przekona się niestety, że się ożenił z miłości.

* * *

Zawiedziona przyjaźń.

— Podobno pogniewałaś się z Edkiem, o cóż wam poszło?

— Wyobraź sobie, jaki to był fałszywy przyjaciel: kochaliśmy się obaj w jednej pannie i on dał mi się z nią ożenić.

* * *

Młode małżeństwo.

On. Ale jakoś twój ojciec nie daje nam reszty obiecanego posagu?

Ona. Widocznie zdaje mu się, że podczas miodowych miesięcy zapomnisz o tem.

* * *

Na lekcyi geografii.

Nauczyciel. Powiedz mi Pałkiewicz, jakie mamy dowody, że ziemia jest kulistą?

Uczeń. Globus, proszę pana profesora.

Szarada.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“, Marya Rohozińska z Krakowa.

Pierwsza znaczy ból czy żałość,
Druga — zapytanie,
Trzecia — doskonałość,
Całość choć straciłam losem srogim
Jest mi po Bogu skarbem bardzo drogim.

* * *

Łamigłówka.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“, Jadwiga Nieniewska z Poznania.

Z pierwszych i ostatnich liter następujących wyrazów ułożyć znane przysłowie.

Unikat.
Imię.
Czoło.
Ortodoksy.
Obraz.
Nurek.
Forum.
Taras.
Rugia.
Łanie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 2-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie tak szarady jak też łamigłówki.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 11-ym:

1. Asnyk 2. Ateny 3. Marzec 4. Ananas 5. Milion 6. Aster 7. Płowy 8. Patryejusz 9. Iwan 10. Ajaks 11. Palestyna 12. Uczony 13. Chwila 14. Nora 15. Ewa 16. Pitagoras 17. Icek 18. Azya.

Stanisław Jachowicz.

Dobre rozwiązanie nadesłali: z Poznania pp. Janek z pod Góry Przemysława i „Helena“ w następującym pięknym wierszyku:

Łamigłówka w „Pracy“ z dnia marca czter- [nastego
Prędko się doczekała rozwiązania swego,
Któż bo nie zna i sobie nie wspomina mile
Bajeczek Jachowicza! Dobre, dawne chwile!!
Locz zanim go znalazłam w łamigłówki rzędzie
Drugim, — myślałam: Któż to ten poeta [będzie?,
Nikt inny tylko „ASNYK“, — poezye (którego
Drukowane pod pseudonimem są „Elego“;
Drugie to są „ATENY“, „MARZEC“ (będzie trzecie,
Czwarte „ANANAS“ najlepszy z owoców (na świecie
Piąte „MILION“, szóste „ASTER“, sió- (dme „PŁOWY“ będzie
Ósme „PATRYCYUSZ“ siedzący w sena- (torów rzędzie,
Potem „IWAN“, a „AJAX“, bohater z pod (Troi
Pod numerem dziesiątym wymieniony stoi,
Ajax syn Telamona, ten Ajax szalony!
Kraj w Azyi „PALESTYNA“, a dalej („UCZONY“
„CHWILA“, „NORA“ Ibsena, „EWA“ (kusicielka,
„PITAGORES“, „ICEK“, „AZYA“, kra- (ina wielka,
Wszystko razem czytane z góry w drugim (rzędzie
Nikt inny jak „**Stanisław Jochowicz**“ *(nie będzie.*

W dalszym ciągu nadesłali dobre rozwiązanie z prowincyi: pp. S. Rychlicki z Krotoszyna, H. Palczewska ze Środy, J. Narowska z Wódek pod Wrześnią; z Górnego Śląska: pp. W. Szkoda z Zabrza i Berta Badura z Roździenia; z Galicyi: pp. O. Maurycy Rzecznik, Bernardyn ze Lwowa, Kierska z Truskawca, Jan Tatkowski z Łąki i Fr. Pasek (Brat Ludwik Back) z Mogiły.

Nagrodę otrzymali: pp. Janek z pod Góry Przemysłowa, J. Narowska z Wódek i Kierska z Truskawca.

Semen Zemlak.

Nieczysta siła.

1) Powieść z życia ludu na Małorusi.
Tłomaczyła z rosyjskiego **Marya Segeny.**

Nieczysta siła.

I.

Burza huczała gdzieś w dali i wieczór zapadał. Pod tchnieniem wczesnej wiosny, zboża budziły się łaknące życia, po długim, cichym śnie zimowym.

Pąki drzew nabrzmiewały pełnem bogactwem soków, tajemnicza siła rozrodcza drżała w płodnem łonie ziemi...

Ostry wiatr wschodni, jęcząc i wyjąc jak zwierz dziki, poganiał stadem chmur skłębionych, rozpraszając je, rozszarpując w strzępy skrwawione płomiennemi iskrami błyskawic.

Mały, ciemny bór, ginący na tle widnokręgu stał zasłuchany...

Na wązkiej ścieżce wijącej się pomiędzy lasem a rozległem polem ukazał się młody wieśniak na koniu. Wzrokiem niespokojnym badał chmury. Wierzchowiec jego strzygł uszami za każdym szelestem i drżał nerwowo.

— Noc zapada i burza się zbliża — rzekł wieśniak. Pochylił się nizko nad siodłem, przenikliwem okiem starając się przebić mroki.

— Tam sioło widnieje — szepnął — tam noc spędzę.

Uderzył konia po bokach kolanami i gwizdnął lekko... Podraźnione zwierzę wstrząsnęło grzywą, zarżało donośnie i skoczyło naprzód...

Odpowiedziało mu głuche echo leśne...

Grzmoty coraz silniej huczały, a powietrze przecinały oślepiające błyskawice.

Koń pokryty pianą pruł powietrze, a głuchy tętent biegł za nim.

Pomiędzy polami pokrytemi zielenią w szarych zapadających cieniach nocy bieliły się chaty.

Jeździec wpadł do wsi.

Po obu stronach drogi ciągnęły się zabudowania, w pośrodku wioski na rozległym placu stała studnia w otoczeniu dwóch rozłożystych dzikich grusz. Wieczorem przy tej studni pojono bydło wracające z pastwisk, a w niedzielę i dnie świąteczne, młodzież wiejska tańczyła przy dźwiękach skrzypiec pod cieniem drzew starych. Woda w tej studni była dziwnie świeża i czysta.

Jeździec zatrzymał się na placu i zeskoczył z konia.

— Mój kary spragniony jest — rzekł do siebie młody wieśniak.

Plac był pusty, tylko nad studnią stała młoda dziewczyna czerpiąc wodę i wlewając ją do dwóch dużych drewnianych konw stojących przy niej.

Przy świetle błyskawic rozjaśniających ciemności zapadającej nocy, młody podróżny mógł dojrzeć jej rysy. Bystrem spojrzeniem obrzucił jej kibić wysmukłą i silną, ocenił jędrność jej gibkich ramion i lekkie jej i zgrabne ruchy.

Prowadząc konia za uzdę zbliżył się do studni.

— Dziewczyno czarnooka, bądź pozdrowiona! — rzekł.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece — odpowiedziała wieśniaczka.

— Mój Kary zmęczony jest i spragniony. Napój go, a modlić się będę za ciebie do Boga.

— Napoję twojego Karego i niech woda z tej studni będzie dla niego dobroczynną.

Napełniła koryto i koń napił się do woli.

Podróżny wsparty o duże kamienie studni pochylił się ku dziewczynie pieszczącej lśniącą grzywę Karego.

— Jakie jest twoje imię? — zapytał.

— Nazywam się Oksana, a Demko Bereza, mój ojciec, jest gospodarzem w tej wsi. A ty kim jesteś? Jakie jest imię twoje?

Mówiąc to głosem cichym i nieśmiałym dziewczyna spojrzała na nieznajomego.

Wysmukła jego postawa, włosy czarne jak skrzydła kruka i oczy szare i ostre jak strzała tatarska, musiały dobre na niej uczynić wrażenie, bo po chwili uśmiech łagodny ukazał się na jej twarzy.

— Nazywam się Igor Borożniuk; wieś, w której mieszkam i gdzie mam chatę i ziemi kawał, nazywa się Dubrawa.

— Ah! wiem... to daleko stąd.

— Daleko.

— Wieś ta należy do bardzo możnego dziedzica — nieprawdaż?

— Tak. Jest on możny i wielki pan. Od dzieciństwa jestem w służbie u niego.

W głosie Igora dźwięczała duma.

Koń spragniony pił jeszcze. Oksana pogładziła dłonią jego szyję smukłą i rzekła.

— Piękny jest twój Kary.

— Należy on do mojego pana. Wszystkie nasze konie są piękne.

Grzmoty huczały dalej; grube krople deszczu spadły z szelestem na lśniące liście gruszy.

Borożniuk ujął cugle i spojrzał ku niebu.

— Za chwilę otworzą się upusty niebios — rzekł.

— Chcesz odjechać?

— Trudno... Jestem wysłany z listem. Ujechałem dziś sześćdziesiąt wiorst, a jeszcze czterdzieści mnie czeka... Mój biedny Kary upada ze zmęczenia.

— I nie chcesz, aby twój Kary odpoczął trochę?

— Jestem nieznajomym w tej wsi.

— W stajni mojego ojca umieścisz twojego konia — rzekła Oksana po chwili wahania — a w żłobie, gdzie jedzą nasze woły spoczniesz spokojnie.

— A twój ojciec zezwoli na to?

— Ah! Nie jest przecież człowiekiem bez serca. Chodź za mną. Chata nasza niedaleko.

— Dziewczyno czarnooka, niech ci Bóg nagrodzi — szepnął chłopiec.

Oksana podrzuciła na ramiona dzbany napełnione wodą, a Igor prowadząc Karego za uzdę szedł za nią.

Przybywszy na podwórze uwiązał konia przy lipie, która dom ocieniała i wszedł za dziewczyną do izby.

Chłop o siwych włosach grzał się przy kominie i naprawiał krypcie — stara kobieta krzątała się koło wieczerzy.

— Ojcze — rzekła Oksana — podróżny zaskoczony burzą prosi o pozwolenie przenocowania u nas. Ma konia ze sobą.

Chłop podniósł głowę i bystrem spojrzeniem obrzucił Igora.

— Anasjo — rzekł do starej kobiety — dziś nas czworo zasiądzie do wieczerzy. — Usiądź — dodał zwracając się do młodego wieśniaka.

Igor podniósł do ust rękę gospodarza i gospodyni, poczem usiadł na ławie obok stołu.

— Ale koń twój nie może pozostać na dworze — zauważył Demko Bereza.

Mówiąc to stary wyszedł na podwórze — zaprowadził do stodoły konia podróżnego, uwiązał go do wozu, postawił przed nim wiąskę siana i kubeł wody, poczem powrócił do chaty.

— Jedzmy teraz — rzekł spokojnie.

Stara Anasja przyniosła z blachy dymiący garnek mamałygi, do głębokiej miski nalała przegotowanego mleka i przed każdym z obecnych położyła drewnianą, czystą łyżkę.

Zaczęli jeść w milczeniu.

Po skończonej wieczerzy Demko Bereza zwrócił się do swojego gościa.

— Jakie jest twoje imię — zapytał.

— Borożniuk Igor, batko.

— Zkąd jedziesz?

— Z Dubrawy. Mój pan dziedzic, Andrzej Kaliński, wysłał mnie z listem do swojego przyjaciela, dziedzica z Zalesia.

— Od Dubrawy do Zalesia ładny kawał drogi — zauważył stary. — Będzie z dziewięćdziesiąt wiorst.

— Ujechałem dziś już sześćdziesiąt.

— Młody jesteś... Nic ci to nie zaszkodzi. Jesteś więc w służbie u dziedzica z Dubrawy.

— Od dzieciństwa batku. — Pan mój i ja wzrośliśmy razem.

— Twój pan bogaty jest i nie żonaty jeszcze co?

— Oh! ma czas jeszcze! Piękny jest!

— A dobry?

— Oh dobry! Szeroką ma rękę. Ale jeżeli wpadnie w złość to strzedz się go potrzeba. Ale dobry! Gdy ukarze surowo to potem wynagrodzi...

— A nie daje się on okradać?

— Ej!... Pilnuje sam swojego dobra... Porządek tam jest wzorowy jednakże... Gdyby nie kradli, zapomnieliby, że mają pana.

— A ty jakie tam masz zajęcie?

— Pilnuję stadniny. Pan mój lubi konie, a mamy ich dużo i pięknych bardzo!

— A kobiety? czy także je lubi?

— Hm... jak się zdarzy — rozumiecie.

— Tak — tak.

Rozmawiając ze starym Igor nie spuszczał oka z Oksany zajętej myciem naczynia. Stara Anasja obok na ławce przędła przysłuchując się rozmowie.

— Mam wielką chatę — mówił Borożniuk dalej — i ładny kawał ziemi — a jednak jestem w służbie u Kalińskiego, bo czasy ciężkie, a pan mój szczodry! Ojcowie moi pracują na roli. — Oboje są jeszcze zdrowi i silni. Wszystko dobrze u nas idzie. Mamy bydło, pług, mamy owce...

— Eh! widzę z tego, że Borożniuki dobrymi są gospodarzami.

— Jesteśmy najstarszą rodziną we wsi — odparł chłopak z dumą. — Nawet stara legenda krąży o nas.

— Opowiedz mi ją.

— Było to bardzo dawno temu. W jakich czasach? Nikt nie wie. Moi przodkowie opowiadali ją swoim synom — ci synowie swoim dzieciom, a musi być prawdą jeżeli ojcowie nasi to opowiadali:

— Pewnego dnia dziedzic ogromnych włości kazał zbudować wieś Dubrawę w miejscu gdzie rozciągały się nieprzejrzane okiem pola i lasy pełne dzikiego zwierza.

Dziedzic rzekł do jednego z moich przodków.

— Weźmiesz pług zaprzężony w sześć wołów i odorasz granicę wsi, która będzie moją własnością.

Ze wschodem słońca człowiek ów wyjechał z pługiem w pole. Praca jego była ciężka, bo wieś ta miała być bardzo wielka.

Prababka moja widząc, że po zachodzie słońca oracz nie wraca rzekła:

— Mąż mój musi być głodny. Źle będzie jeżeli z pracy zgłodniałego człowieka powstanie wieś nowa.

Wzięła koszyk z jedzeniem i poszła w pole.

Kobieta ta była w ciąży, lada chwila spodziewała się rozwiązania.

— Czemuś tu przyszła — zawołał jej mąż widząc ją zbliżającą się — droga daleka, możesz porodzić w bruździe.

— Niech się stanie wola Boża — odpowiedziała kobieta.

Zaledwie wymówiła te słowa, gdy chwyciły ją pierwsze bole porodowe i po godzinie w bruździe pod czystem niebem tuż obok odpoczywających wołów przyszedł na świat jej syn pierworodny.

— Twój chłopak będzie się nazywał Borożniuk bo borozna [1]) była mu kolebką — rzekł dziedzic gdy dowiedział się o tem.

Trzymał dziecko do chrztu, kazał wybudować dla niego chatę, która była, pierwszą chatą zbudowaną w tej wsi. — Oto legenda.

— Stara jest ona — zauważył Bereza — który słuchał opowiadania z ciekawością. Powiedz mi czy jesteś jedynakiem?

— Mam braci już ożenionych i wyposażonych, jestem najmłodszym synem i mnie przypadnie w dziale chata ojcowska.

— Nie jesteś żonaty?

— Nie. — Dzień mój jeszcze nie nadszedł.

— Powinieneś o tem pomyśleć, skoro ci nic nie brakuje.

— Pomyślę, jeżeli serce moje wybierze.

— I nie znalazłeś dotąd takiej kobiety?

Chłopak milczał.

Nie znalazłeś? — powtórzył Bereza z uśmiechem.

— Może niebo łaskawe zeszle mi ją z burzą, z deszczem, kto wie?

Starzec zamyślił się. Igor spuścił głowę i milczał.

— Zapewne szukać będziesz posażnej narzeczonej — podjął po chwili gospodarz.

— Ej, mój Boże! Posag nie łatwo się znajduje.

— Ale chciałbyś go dostać, co?

— Nie! Chcę mieć kobietę dla siebie, do pomocy moim starym rodzicom.

Mówiąc to chłopak wstał z ławy.

— Późno jest — rzekł. Jutro i pojutrze jeszcze włó-

[1]) Brózda.

czyć się będę musiał po drogach. Pójdę spocząć obok Karego.

— Odprowadzę cię do stodoły — odpowiedział Bereza. Koń twój uwiązany do wozu pełnego słomy — tam spoczniesz.

— Batko! Niech ci Bóg da zdrowie! Niech chleba nigdy nie zabraknie pod twoim dachem. — Dobrej nocy wam wszystkim życzę!

Ucałował rękę starych i spojrzał na dziewczynę.

— Do widzenia Oksano — rzekł z uśmiechem.

— Do widzenia — odpowiedziała nie patrząc na niego.

II.

Ranek świtał. Pola zazielenione, mokre jeszcze od rosy ukazały się w mglistem świetle budzącego się dnia. Skowronek już śpiewał pod chmurami.

Igor, który obudził się na równi ze skowronkiem siodłał konia i zabierał się do odjazdu.

Czynił to jednak powoli. Wsparty obok Karego z twarzą na dłoni, marzył i czekał.

W chacie Berezów panowała cisza, słońce jeszcze nie weszło, gospodarze spali.

Z oczami utkwionemi w okna chaty Igor dumał. — A jeżeli to jest przeznaczenie? Jak jaskółka nad źródłem przeleciała ona przez moją drogę.

To musi być przeznaczenie.

Nagle usłyszał lekki skrzyp otwieranych drzwi i zobaczył Oksanę na progu chaty.

— Jaskółka — szepnął Borożniuk.

Młoda dziewczyna niosła chleb żytni i duży kielich wódki.

Podeszła do stodoły, stanęła nieśmiało, nie mając odwagi spojrzeć chłopcu w oczy.

Drżącą ręką podała mu chleb i wódkę.

— Odjeżdżasz? — Matka moja ci to przysyła.

Igor wziął kielich z jej rąk i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Na twoje zdrowie — rzekł.

— Niech cię Bóg prowadzi!

— Oksano, ja się nie żegnam z tobą na zawsze.

Dziewczyna milczała.

— Nie chcesz, żebym powrócił — zalegał Igor. Nie chcesz już więcej poić mojego konia?

— Napoję go, jeżeli powrócisz.

— Naprawdę? Dotrzymasz obietnicy?

— Czemu nie? Studnia jest głęboka, a źródło obfite. Twojemu Karemu nie zabraknie świeżej wody.

— A ciebie odnajdę przy studni?

— Odnajdziesz mnie.

— Jutro wieczór Oksano przejeżdżać będę przez wasze sioło i zatrzymam się przy studni.

— A ja napoję twojego konia.

Igor dosiadł wierzchowca.

— Czarnooka dziewczyno — rzekł. — Dzięki ci składam za wasz chleb i sól i obfitą wodę w waszem źródle.

— Jedź w spokoju.

Jeździec odjechał wolno oglądając się za dziewczyną, która śledziła go wzrokiem. Po chwili znikł pomiędzy chatami i drzewami wioski.

Oksana zamyślona powróciła do domu.

— Ma oczy jak sztylety — myślała. — Boję się jego oczu!

— Co on ci mówił — zapytała stara Anasja widząc wchodzącą córkę.

— Powiedział mi, że powróci tu jeszcze.

— I ty pragniesz jego powrotu — co? podoba ci się?

— Nie wiem matko! Nie śmiem mu w oczy spojrzeć.

— Cobyś odpowiedziała gdyby on cię chciał poślubić?

— Nie wiem... serce moje milczy. Spojrzenie jego napełnia mnie lękiem.

— Dlaczego? Jest pięknym chłopcem i nie głupim, umie mówić! Rozum więcej znaczy, niż bogactwo. Cóż on ci mówił jeszcze?

— Powiedział mi, że jutro wieczorem przejeżdżać będzie przez nasze sioło i prosił, bym czekała u studni ze dzbanami, bym napoiła jego konia tak, jak to wczoraj uczyniłam.

— I przyrzekłaś mu.

— Tak, matko.

Anasja spojrzała surowo na córkę.

— Córko — rzekła — pamiętaj, że najlepszy z nich ma w sobie szatana, i że wtedy tylko cię uszanuje jak sama uszanować się potrafisz.

— Nie obawiaj się matko.

— Więc ci się podoba, a nie chcesz tego wyznać.

Oksana zamyślona patrzała w dal.

— Nie wiem — szepnęła po chwili. — Dusza moja spokojna, a serce za nim ani przeciw niemu nie przemawia. Jednakże pięknym jest.

— Może byłabyś szczęśliwą, gdyby cię poślubił... Umie uszanować starość. A w dzisiejszych czasach to rzecz rzadka. A przytem jest w służbie bogatego i szczodrego dziedzica i opływać będzie we wszystko. Powiedz, gdyby ci przysłał swaty, przyjęłabyś je?

Młoda dziewczyna zadumana, milczała.

— Chyba serce twoje oddałaś innemu. — Odpowiedz!

— Nie, matko! Nie kocham nikogo!

— A więc słuchaj, gdyby cię Borożniuk chciał poślubić z chęcią powiem ci: idź za niego. — Kto wie on ci może przeznaczony!

. . . .

Podczas gdy w wiosce Zelena mówiono o nim, Igor jechał po przez rozległe pola zamyślony z oczami spuszczonemi ku ziemi. Zdawał się zapomnieć o celu swojej podróży i koniu swoim, cugle zaledwie przytrzymane jego ręką rzucone były na los wiatru. Kary nie czując nad sobą żadnej władzy szedł kapryśnie i leniwo.

— Nie ma w mojej wsi ani jednej dziewczyny, którąby jej dorównała — mówił do siebie Borożniuk. — Wysmukła jest jak kłos żytni wyrosły na czarnej ziemi. Oczy jej zdolne rozpalić samego szatana. A piersi, biodra! Ah!...

Zadrżał i ściągnął nagle cugle Karego. Koń skoczył naprzód i popędził.. Igor marzył dalej.

— Starzy wydają mi się być dzielnymi ludźmi; mają chatę i stodołę silnie zbudowanną, woły, stertę żyta, kukurydzy poddostatkiem. Widziałem to wszystko! Eh! mój Boże! Kto wie jaka to siła przywiodła mnie do tej studni! Nad czystem, obfitem źródłem spotkałem dziewczynę z pełnemi konwiami! Dobra wróżba... Powrócę tu jeszcze!

Słońce wznosiło się coraz wyżej, jasny poranek wiosenny ozłacał wierzchołki drzew i rozległą pustą równinę. Skowronek śpiewał pod niebem.

Igor wstrzymał bieg wierzchowca i wzniósł oczy w górę, śledząc niewidzialnego śpiewaka, którego hymn wiosenny dobiegał do niego.

— Módl się do Boga — szepnął do siebie! — O ty! małe niewinne ptaszę módl się za mnie, módl się za moje szczęście! Niech zejdzie ono z burzą i deszczem, z promieniem słońca i tchnieniem tego ciepłego powiewu.

W szeroką pierś wchłonął świeże polne powietrze, a nozdrza jego rozdęły się spragnione i drżące.

— Tak — rzekł jeszcze — ona jest mi przeznaczoną. Jutro wieczorem napoi mojego konia.

Na zakręcie drogi ujrzał Igor krzyż.

U stóp tego krzyża odpoczywał jakiś człowiek, głowę

miał opartą na dużej skrzyni, okrytej grubem, żaglowem płótnem i okręconej rzemiennymi pasami.

— Oh! — rzekł do siebie chłopak — wędrowny kramarz!

Myśl nagła błysnęła w jego głowie, wywołując uśmiech zadowolenia.

— Hej! kramarzu — krzyknął zatrzymując się przed człowiekiem. — Przynoszę wam szczęście. Słońce zaledwie weszło, a już macie kupującego. Otwórzcie waszą skrzynię.

Zeskoczył z konia i zbliżył się do zdziwionego kupca.

— Ależ otwórzcie mówię wam i sprzedajcie mi najpiękniejsze wasze rzeczy.

— Oh! pięknych rzeczy nie brak u mnie. Cóż chcecie kupić?

— Wstążki, kolczyki, pierścionki... Wszystko!

Kramarz uśmiechnął się i spojrzał przebiegle na młodego wieśniaka.

— Jesteście młodzi — rzekł — i Bóg wam urody nie poskąpił. Pierścionki, kolczyki... rozumiem. Oh! mam ich, mam do wyboru i pięknych i błyszczących jak to wschodzące słońce!

— Dajcie, dajcie prędzej!

Kramarz rozluźnił rzemienie i otworzył skrzynię.

— Patrzcie, czy to nie piękne?

Rozwinął szeroką krwistą wstęgę, przetykaną drobnymi złotymi i szafirowymi kwiatami i wstrząsnął nią w powietrzu.

Pod lazurowem niebem, na ciemnem tle pól zielonych jaśniejących promieniami słońca, wstęga ta dziwnie zdawała się harmonizować z kolorytem zbóż młodych i żywem światłem poranku.

Igor oślepiony z podziwem patrzał na ten pas iskrzącego się jedwabiu.

— O! To piękne! — zawołał.

— A dziewczyna? Czy nie piękna?

— To was nie obchodzi.

— Hm, z tą wstęgą we włosach podobną będzie do prawdziwej kniahini.

— Dajcie mi jeszcze kolczyki i pierścionek. Muszą być tak piękne jak ta wstążka!

— Eh! dobry Boże! Mam wszystkie gwiazdy z niebios w swojej skrzyni. — Jeżeli was one nie zadowolnią...

— Dajcie! dajcie prędko!

Kramarz wyjął jakieś pudełko i otworzył je szybko.

— A co? Czy oczy wasze nie oślepną z blasku tych cudności. Przypatrzcie się tym kolczykom! Czy to nie słońce złote, oślepiające! A ten pierścień! Widzicie ten kamień zielony i ten purpurowy. Rzekłbyś iskry, płomienie palące! Ot! stuliły się do siebie jak dwa kochające się serca!

— Umiecie kłamać, jak każdy kupiec. — Jednak dajcie mi ten pierścień, gdzie są dwa kochające się serca!

Zapłaciwszy kupione błyskotki i owinąwszy je w dużą kraciastą chustę — Igor z powrotem skoczył na Karego!

— Życzę wam szczęścia — rzekł do kramarza.

— Życzę go wam nawzajem. — Gdy dziewczyna ujrzy ten pierścień i wstęgę...

— To co?

— Wstęgą przykujesz ją do szyi, a pierścionkiem do duszy.

Podczas gdy kramarz uśmiechając się chytrze ładował swoją skrzynię — Igor dumny jak zwycięzca galopował po zielonych równinach spijając ożywcze wiosenne powietrze i upajając się swojem marzeniem.

— Jutro — jutro wieczorem — szeptał.

. . . .

Oczekiwany wieczór nadszedł. Wierny danej obietnicy Borożniuk podążał do wioski. Oksana czekała już u studni z konwiami pełnemi wody.

Noc zapadała. Na pustym placu ocienionym dzikiemi gruszami pełzły blade promienie księżyca — a tylko krzyk puchacza siedzącego na pobliskiej stodole, przerywał głęboka ciszę wieczora.

Z ręką opartą o brzeg koryta Oksana czekała nadsłuchując.

Nagle zabrzmiał het, w oddali głuchy tętent galopującego konia! Tętent się zbliżał coraz wyraźniejszy, donośny... koń zwalnia biegu... pod bladymi promieniami księżyca cień jakiś przemknął.

W ciszy rozlega się pieśń: płynie ona z podmuchem wieczornym łagodna i dźwięczna.

„Oh! tam na skraju sioła, ukazała się gwiazda i schodzi do studni... brzmiały słowa słodkiej pieśni. Schodzi i błyszczy jasno! Czyż to naprawdę gwiazda płomienna?... Sunie powoli... widzę ją widzę! Nie! Nie! To nie gwiazda spadła z wiosennego nieba, to młoda dziewczyna idzie czerpać wodę ze źródła!"

Oksana słucha i uśmiecha się.

— A jednak szepce... lękam się jego oczu.

Pieśń skonała w powietrzu. Jeździec na koniu zbliżył się do studni.

Tym razem Borożniuk nie wita dziewczyny; patrzy na nią uporczywie i milczy.

Pod tem przenikliwym spojrzeniem Oksana spuściła oczy i bez słowa napełnia perlistą wodą koryto, i bierze cugle z rąk chłopca.

— Pij — rzekła do Karego.

Igor milczy, tylko wzrok jego mówi.

Młoda wieśniaczka mięsza się i dziwi.

— Igorze Borożniuk — zawołała — czemu do mnie nic nie mówisz?

Bo wiele, bardzo wiele mam do powiedzenia... a gdy serce pełne umysł nie myśli, usta milczą.

Zbliżył się do Oksany i ujął ją za rękę.

— Nie trwoż się czarnooka; nie jestem kłamcą. Słuchaj: Zapisanem jest, że będziesz moją i dlatego przyszedłem do ciebie... Chcę włosy twe ustroić w wianek z pierwiosnków........... A ty pragniesz tego?

Dziewczyna nie mogła znieść jego gorącego spojrzenia, oczarowana, drżąca z lęku oparła się o gruszę.

— Nie patrz tak na mnie — błagała go.

— Mam oczy i patrzę. Oksano daj mi całusa... Tej nocy śniłem.....

— O czem śniłeś?

— O tem, że mnie kochasz! Patrz, co ci przywiozłem. Weź to!

Wyciągnął z chustki kolczyki i pierścionek i położył je na kamieniu przy studni, poczem rozwinął barwistą wstęgę, która promienieć zdawała w świetle księżyca.

— Ah!... Igor! — krzyknęła zachwycona Oksana.

— To dla ciebie! słyszysz, dla ciebie. Za ośm dni przyślę ci moich swatów. Chcesz? Odpowiadaj!

Uchwycił dziewczynę w ramiona i szeptał dalej do ucha:

—Jakże piękną będziesz z wiankiem pierwiosnków w warkoczach... Jakże piękną będziesz, w białem ubraniu panny młodej! Będziesz gospodynią w chacie mojej... Tej nocy śniłem... śniłem...

— O czem śniłeś?

Odpowiedź chłopca padła w głębokiej ciszy wieczoru, odpowiedź stłumiona, drżącym wymówiona głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

14

(Ciąg dalszy).

W zaufaniu szeptali sobie policyanci, że korzyść z wybrania gniazda Maffiosów wcale tak wielką nie była, jak się z początku zdawało. Bo chociaż znalezione w chacie i zabrane papiery jasnym były dowodem, że było to rzeczywiście towarzystwo Czarnej Ręki, to uwięzionym nie można było nic zrobić dopóty, dopóki nie wykryły się ich przestępstwa i zbrodnie.

To zaś prawie było niemożliwem, tem więcej, że nieznani dotąd i po części biedni ci ludzie, nagle najlepszych mieli adwokatów i obrońców.

Nie pozostało więc sędziom nic innego, jak wypuścić wszystkich prawie uwięzionych na wolność. Ci, których jeszcze zatrzymano, uciekli wnet, w niewytłumaczony sposób, i policya wyśledzić ich nie mogła.

W kołach Maffiosów domyślano się, kto był zdrajcą. Nie mógł być nim kto inny, jak Mac Allan, to też postanowiono pomścić się na nim podwójnie i usunąć go jak najprędzej. Młody Maffiosa, który umiał tak zręcznie zabrać klejnoty pani Astor, otrzymał polecenie wyszukania Allana, i tym razem nie zachorował na okręcie. Przybył szczęśliwie do Hamburga, lecz tu stanął wobec nierozwiązanej zagadki, nie mógł bowiem żądać pomocy policyi niemieckiej. Domyślał się, że Mac Allan udał się do Rosyi, od niego tylko mógł pochodzić ów list do prezydenta policyi, wrzucony w pociąg berlińsko-petersburski. Szukanie igły w stogu siana było stosunkowo łatwiejszem, niż szukanie w Rosyi człowieka, pragnącego się ukryć.

Powiedział sobie przedewszystkiem, że musi się sam postawić w położenie Allana, aby powziąść podobne chociaż plany i zamiary zniknięcia z widowni świata. Ponieważ Mac Allan zatrzymał nazwisko swoje na okręcie, przeto można było przypuszczać, że nie zmieni go i później, chociaż wszystko było możliwem. Trzeba więc było zamieszkać na pewien czas w jednem z większych miast i dowiadywać się po najrozmaitszych innych miastach, czy nie znajduje się tam pewien Amerykanin, Mac Allan. W Niemczech było to możliwem dla ścisłego meldowania przyjezdnych, ale potem w Rosyi...

Bądź co bądź musiał go szukać. Mac Allan nie nadawał się na nic innego, jak na portyera lub stróża i można było przypuszczać, że uda się najpierw do Amerykanów z prośbą o jaką posadę lub zajęcie. Młody Maffiosa postanowił więc najpierw zwiedzić miasta, w których mieszkało dużo Amerykanów i pytać się dyskretnie w konsulatach i ambasadach. Było też możliwem, że Mac Allan upije się i wywoła jaki skandal, o którym gazety doniosą i wtedy wpadnie mu sam w ręce...

— — — — — — — — — — — — — —

— Harry Weighton!

Reverend Boas wymówił imię to drżącemi ze strachu ustami i zdradził się sam, okazując, że zna gościa, który wszedł do jego pokoju.

Gościem tym zaś był rzekomy sir Harry Vilson.

Harry Weighton patrzał na niego z szyderczym uśmiechem.

— Domysły moje były słuszne — zaczął po chwili. Znajduję tu młodszego brata mojego ojca! Przed dwudziestu laty znikł stryj tak nagle...

Boas oprzytomniał trochę.

— Czy ostatni lord Weighton — odrzekł marszcząc gniewnie czoło — przybył tu po to, aby kazać powiesić rodzonego stryja?

Po tych słowach ujął poręcz ciężkiego dębowego krzesła tak silnie, że nie wiedzieć było, czy zamierza użyć krzesła jako broni, czy opierał się tylko mocno, nie chcąc upaść.

Weighton potrząsnął głową.

— O nie — zawołał — pragnę się tylko dowiedzieć, jak się stryjowi wiodło od... od owego czasu — dodał ciszej.

Boas odetchnął.

— Pytaj, o co chcesz — szepnął.

Weighton zawahał się, nie mógł widocznie znaleść stosownego początku.

— Usiłowałeś mnie — odezwał się nareszcie — jedynego syna i dziedzica majątku starszego twego brata, usunąć przed dwudziestu laty, aby zostać lordem Weighton...

— Co u djabła — krzyknął Boas — po co mi to opowiadasz? Chcesz się nasycić mojem upokorzeniem, bo wiesz, że jestem zależnym od ciebie?

Weighton nic mu na to nie odpowiedział.

— Twój plan nie udał się — mówił spokojnie dalej. Mój ojciec, który znał cię dokładnie, nie dowierzał ci ani na chwilę i przed śmiercią powierzył mnie opiece dzielnego detektiwa Buttlera.

Na dźwięk tego nazwiska zaklął Boas straszliwie i spuścił oczy.

— Buttler ocalił mi życie — zaczął Weighton znowu. Bo mój stryj chciał mnie otruć okropną trucizną, curarą...

— Po co mi to opowiadasz? — przerwał Boas hardo.

— Dla przypomnienia ci twoich czynów! Powiedz mi teraz, czem się potem zajmowałeś?

Boas uśmiechnął się gorzko.

— Możesz sobie wyobrazić — rzekł — że mnie nie wiodło się tak dobrze, jak tobie, właścicielowi Weighton-Hall. Nie miałem ani dwóch funtów w kieszeni, gdy przybyłem tutaj z moją żoną.

Weighton zdumiony spojrzał na niego.

— Jakto, stryj ma żonę? — zawołał.

— Miałem! Umarła w największej nędzy, a gdzie się mój syn obraca... djabli wiedzą!

— Ależ ja nic o tem nie wiedziałem!

— Wierzę, bo dopóki żył mój ojciec, a twój szanowny dziadek, nie było mi się wolno przyznać do małżeństwa z córką biednego dzierżawcy. Gdybym był został... gdybym... był... hm... został... lordem Weighton, to cały świat byłby się dowiedział, że najładniejsza w całej okolicy dziewczyna, Lucy Stanfield, jest moją żoną!

Na lordzie Weighton wywarły słowa te dziwne wrażenie.

— Jak imie synowi stryja? — zapytał.

Boas podniósł głowę i spojrzał na bratanka z widocznem podejrzeniem.

— Dziwna rzecz — szepnął — że teraz nagle budzą się w sercu twojem uczucia rodzinne. Nie myślałem, że losy kuzyna interesują cię! Mojemu synowi imie Bob!

Lord Weighton zadrżał mimowoli. Synem nieszczęśliwego tego człowieka był więc ów Bob Stanfield, młody Maffiosa, o którym mu Buttler i Perosini tyle opowiadali! I jego najbliższym krewnym!

— — — — — — — — — — — — — — —

Rochs chodził po pokoju niespokojny i rozdrażniony. Więc to wpływ Wilsona działał tak silnie na Artura! Stało się teraz to, o czem nigdy dotąd nie myślał, a co groziło zniszczeniem wszystkich jego ambitnych planów. Ewa Lenis, czyli Artur Gensmore nie wiedziała sama jeszcze o tem, że kocha lorda Weighton, lecz on, Rochs, widział to zupełnie jasno.! I czy będzie mógł zwalczyć miłość, najsilniejsze uczucie w sercu kobiety?

— Niech się dzieje co chce — myślał — będę walczył i nie ustąpię! Wszystkie moje starania i zabiegi — i zbrodnie — miałyby być daremnemi? Nie! Nie cofnę się przed niczem! Imię moje musi zasłynąć, sława moja musi brzmieć na całym świecie, a tylko Ewa może mi w tem pomódz! Ona jedna rozumie moje kompozycye i gra je tak, jak mają być grane! Nie wszystko jeszcze stracone! Ewa nie wie, że kocha tego człowieka! Nie wie, co ją do niego pociąga, nie umie rozpoznać całego położenia rzeczy. Użyję wszelkich sposobów, aby wpływ jego zniweczyć. Zabić jej miłości nie mogę, ale mogę kazać jej zapomnieć o nim. I zaraz muszę z tem zacząć.........

Artur znajdował się jak zwykle o tym czasie w salonie i grał. Rochs stanął, słuchał, i twarz jego rozjaśniła się zadowoleniem. Artur grał jego wielki koncert c-dur, który komponiście zjednał już tyle sławy i pieniędzy. Ale zaraz potem zmarszczył gniewnie czoło, przyszło mu bowiem na myśl, że Artur grał ów koncert właśnie wtenczas, gdy zjawił się w wąwozie sir Wilson. Czy więc wspomnienie pierwszego ich spotkania nakłoniło Artura do grania dziś tej samej sztuki?

Może to jednak był tylko przypadek, w każdym razie postanowił się Rochs zaraz o tem przekonać.

Gdy wszedł do salonu, nie podniósł Artur nawet głowy. Rochs stanął znów i słuchał i przyznawał w duszy, że gra młodej dziewczyny przechodziła wszelkie jego wymagania. Po chwili przecież wyjął z pugilaresu fotografią i zbliżył się do Artura.

— Patrz, co ci przyniosłem, — rzekł.

Artur rzucił smyczek i kosztowne skrzypce niedbale na kanapę i schwycił obydwiiema rękami obrazek.

Ale gdy spojrzał na niego, potrząsnął głową.

— To jest niby on, a jednak nie on, — rzekł i wsunął fotografią do kieszeni.

— Widzisz, — zawołał Rochs, — jak chętnie wypełniam twoje życzenia, jeżeli mi jesteś posłusznym. A ja żądam posłuszeństwa!

Ostatnie słowa wymówił cicho, lecz tonem, który zdawał się wielki wywierać wpływ na Artura. Młody artysta bowiem, spojrzał przestraszony na niego. Rochs zbliżył się, patrzał mu przenikliwie w oczy i podniósł rękę — Artur zaś stał jak skamieniały.......

Rochs poruszał ręką, tworząc koła coraz to mniejsze, potem dotknął czoła Artura i rzekł:

— Śpij!

Artur zamknął oczy.

Był to widok, mogący wstrząsnąć najsilniejsze nerwy. Rochs hypnotyzował Ewę. Wyciągał ręce, zaciskał je, otwierał, zataczał kręgi i koła nad głową uśpionej i patrzał na nią, jak dziki zwierz na upragnioną zdobycz. Podług jego przekonania nie była Ewa dosyć głęboko jeszcze uśpioną, pracował więc dalej i nie byłby pewnie przestał tak prędko, gdyby mu silne pukanie do drzwi nie było przeszkodziło.

W pobocznym pokoju dały się równocześnie słyszeć wesołe głosy kobiece.

Z głośnem przekleństwem rzucił się Rochs ku drzwiom, zaryglował je i obudził Artura.

— Otwieraj pan, — wołał za drzwiami głos kobiecy, — chcę rewizytować Artura Gensmore! Gdzie mój drogi Artur? Proszę otwierać, Anna Michałowna nie jest przyzwyczajoną do czekania!

— — — — — — — — — — — — — —

— Precz z wami, sukisyny!

Oficer uderzył pałaszem więźnia, stojącego blizko niego i pochód, eskortowany kozakami, ruszył. Mężczyźni byli wszyscy skuci kajdanami i nosili na twarzy i rękach krwawe ślady pastwienia się nad nimi. Szli ciężkim krokiem, dzwoniąc łańcuchami, z spuszczonemi głowami, jak gdyby je chcieli uchylić przed razami nahajek, świszczących w powietrzu.

— Stój!

Komenda zabrzmiała i smutny orszak stanął. Oficer skinął, jeden z podoficerów zwrócił konia, zeskoczył i zatrzymał się przed nim.

— Co chciałem jeszcze powiedzieć, — rzekł oficer, — ah, zważajcie najwięcej na tego Amerykanina! Niebezpieczny to ptaszek! Szatan prawdziwy! Bronił się jak lew! Żeby wam tylko nie uciekł! Rozumiesz?

— Rozumiem! Czy nie mam przy sposobności wyprawić go na drugi świat?

— Niestety, nie wolno! Amerykański konsul w Helsingforsie dowiedział się na nieszczęście, że jeden z jego przeklętych rodaków został aresztowanym przy przemycaniu broni i porusza niebo i ziemię, aby go z rąk naszych wydobyć. Więc trzeba się z nim ostrożnie obchodzić. Moglibyśmy z powodu tego gałgana mieć nieprzyjemności! Tak, żeby to był Niemiec.........

Podoficer nie odchodził.

— Czego jeszcze chcesz?

— Chciałbym o coś zapytać!

— O co?

— Czy ci Amerykanie są tak potężni, że musimy się z nimi ostrożnie obchodzić?

— O tak! Mianowicie bardzo są bogaci! A teraz ruszaj! Marsz!

Kozak wskoczył na konia i popędził do swoich towarzyszów.

— Słuchajcie — rzekł — na życie tego łotra nastawać nie możemy, ale jeżeli go czasem nahajka wasza trafi to nic nie szkodzi!

I sam zaraz dał im przykład traktowania więźnia. Z głuchym szelestem spadła nahajka na ramiona Amerykanina.

— Hej, ty psi synu — krzyknął przytem — porusza trochę żwawiej nogami! Bo jak nie, to ci pomogę!

Więzień hardo podniósł głowę. Nie rozumiał wprawdzie po rosyjsku, lecz domyślał się znaczenia słów kozaka.

— Pożałujecie tego, — zawołał, — jakem Mac Allan! Z synem wuja Sama nie obchodzą się ludzie w ten sposób!

(Ciąg dalszy nastąpi).